

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 10 (1165) 6 MARCA 1983 R. CENA 12 ZŁ

*Z okazji Święta Kobiet
najserdeczniejsze życzenia
naszym miłym Czytelniczkom*

*składa
Redakcja*



TRZECIA NIEDZIELA WIELKIEGO POSTU

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Efezjan (5,1—9)

Bracia! Bądźcież naśladowcami Bożymi jako synowie najmilsi i postępujcie w miłości jako i Chrystus umiłował nas i wydał samego siebie za nas na dar i na ofiarę, na wonność wdzięczności. A rozpusta i wszelka nieczystość albo chciwość niech nie będą nawet wspomniane między wami jak przystoi świętym. Podobnie też i bezwstyd albo głupie mowy lub nieprzystojne żarty, nie należące do rzeczy, ale raczej składanie dziękczynienia. Bo o tym winniście być przekonani, że żaden rozpustnik albo nieczysty lub chciwiec (co jest bałwochwaltwem) nie ma dziedzictwa w Królestwie Chrystusowym i Bożym. Niechże was nikt nie zwodzi próżnymi słowy, bo za to nadciąga gniew Boży na synów niedowiarstwa. Nie wchodźcie więc z nimi w uczestnictwo. Niegdyś bowiem byliście ciemnością, ale teraz staliście się światłością w Panu. Postępujcie jako synowie światłości. Bo owoc światłości polega na wszelkiej dobroci, sprawiedliwości i prawdzie.

Ewangelia według św. Łukasza (11,14—28)

i Onego czasu: wyrzucił Jezus czarta, a ten był niemy. A gdy wyrzucił czarta, przemówił niemy i zdumiały się rzesze. I mówili niektórzy z nich: Przez Belzebuba, księcia czartowskiego, wyrzuca czarty. A inni, kusząc, domagali się od Niego znaku z nieba. Ale On, znając ich myśli, rzekł im: Wszelkie królestwo rozdzielane niezgodą będzie spustoszone, a dom na dom upadnie. A jeśli i szatan rozdzielany był niezgodą, jakże się ostoi królestwo jego skoro powiadacie, że ja przez Belzebuba wyrzucam czarty? A jeśli ja przez Belzebuba wyrzucam czarty, synowie wasi przez kogo wyrzucają? Dlatego oni będą sędziami waszymi. Lecz jeśli ja mocą Bożą wyrzucam czarty, tedy przyszło do was królestwo Boże. Gdy zbrojny mocarz strzeże domu swego, bezpieczne jest to, co ma. Ale jeżeli mocniejszy od niego nadejdzie i zwycięży go, zabierze wszystkie jego broń, w której ufał, a łupy jego rozda. Kto nie jest ze mną, przeciwko mnie jest, a kto nie zgromadza ze mną, rozprusza. Gdy duch nieczystości opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając odpocznienia, a nie znajdując, mówi: Wróć się do domu mego, skąd przyszedłem. I wróciwszy, znajduje go umiecionym i przyozdobionym. Wówczas idzie i bierze ze sobą siedmiu innych duchów, gorszych od siebie, i wszedłszy mieszka tam. I stają się późniejsze rzeczy człowieka owego gorsze niżli pierwsze. I stało się, gdy to mówił, że pewna niewiasta z tłumu donośnym głosem rzekła do Niego: Błogosławione Imię, które Cię nosiło i piersi, któreś ssał. A on rzekł: Raczej ci są błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go.

nak przeciw Duchowi nie będzie odpuszczone". Obelga zawarta w zarzucie, że Jezus wypędza złe Duchy mocą Belzebuba może być grzechem przeciw Duchowi Świętemu. Oskarżyciele bowiem nie widzą Bożego królestwa Jezusa, bo nie chcą widzieć, uparcie zamykają oczy przed światłem prawdy, „Plemię żmijowe! Jakże wy możecie mówić dobrze, skoro źli jesteście? Przecież z obfitości serca usta mówią”. Mówią o złych duchach Jezus w krótkiej przypowieści wyjaśnia sposób ich działania. Wypędzony z człowieka zły duch nie daje za wygraną. Wraca z siedmioma innymi duchami gorszymi od siebie i atakuje ponownie. Człowiek, który podda się pokusie staje się gorszy niż był przed nawróceniem.

W próbie zastosowania do naszego życia myśli zawartych w dzisiejszej ewangelii podejmiemy wątek mówiący o możliwości wpływu złych duchów na życie człowieka. Złe duchy, które na czele z Belzebubem są wrogami ludzkości, atakują nas przez pokusę. Kuszenie szatańskie polega na podsuwaniu pragnień i myśli wiodących do grzechu. Przez wyobraźnię, a szczególnie przez pamięć zmysłową szatan może oddziaływać na nasze zmysły. Zna on doskonale prawa ludzkiej psychiki i dlatego może na nas odpowiednio wpływać. Obietnice: będziesz człowiekiem wolny, swobodny, wielki, osiągniesz pełne ziemskie szczęście, uznanie u ludzi i władzę — to najczęściej spotykane pokusy.

Święty Piotr w swoim pierwszym liście poucza nas: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając, kogo pożreć. Mocni w wierze stańcie przeciwko niemu”. Trzeźwość w najogólniejszym tego słowa znaczeniu i czuwanie — to podstawowe warunki powodzenia obrony przed działaniem złych duchów. Wszelka dysksja z pokusą, pertraktacje, to początek przegranej walki. Święty Paweł w liście do Efezjan przedstawia metodę walki z duchem zła w następujący sposób: „Stańcie więc do walki przepasawszy biodra wasze prawdą i obłókłszy pancerz, jakim jest sprawiedliwość, a obówsy nogi w gotowość głoszenia dobrej nowiny o pokoju. W każdym wypadku weźcie jako tarczę, dzięki której zdołacie zgasić wszystkie rozżarzone pociski Złego. Weźcie też hełm zbawienia i miecz Ducha, to jest słowo Boże — wśród wszelkiej modlitwy i błagania”. Szatan jest duchem kłamstwa i dlatego musimy z nim walczyć za pomocą prawdy objawionej przez Boga. Szatan jest niesprawiedliwy, bo nie oddaje Bogu, co Boże i dlatego musimy z nim walczyć sprawiedliwością. Szatan jest duchem nienawiści i dlatego możemy go zwyciężyć ewangelią pokoju, miłości, „która nie szuka swego”. Słowo Boże jest mieczem, dzięki któremu możemy odeprzeć ataki wroga, a modlitwą zanoszona w każdy czas i w każdym miejscu możemy wyprosić Boże łaski potrzebne do zbawienia.

W czasie chrztu świętego wyrzekliśmy się szatana i jego pychy. Teraz nadszedł moment uświadomienia sobie kto jest największym wrogiem człowieka i czas walki. Obronimy się przed działaniem złośliwych duchów, jeśli korzystać będziemy ze środków, które daje nam do dyspozycji Jezus Chrystus. On jest zwycięzca szatana i naszym bratem. Zjednoczeni z Nim przez wiarę i modlitwę płynącą z wiary pokonamy naszego największego wroga.

Ks. KAZIMIERZ FONFARA

Wróg człowieka

Są pewne fragmenty Pisma świętego, o których chciałoby się nie pisać, bo są to tematy „wstydlive”, narażające autora na posądzenie o zacofanie. Niesposób jednak pominąć dzisiejszej ewangelii mszalnej, która należy do tych „wstydlivych” tekstów Pisma świętego, wchodzących w skład demonologii biblijnej, czyli biblijnej nauki o złych duchach. Motywem dodatkowym do przemyślenia zagadnienia niech będzie znane powiedzenie C. Lewisa zawarte w „Listach starożytności”, że „największym osiągnięciem szatana w XX wieku jest wmówienie ludziom, że go nie ma”.

Do Jezusa przyprowadzono człowieka niemego, opętanego przez szatana. Mocą swej boskiej władzy Jezus wypędził szatana i uzdrowił chorego, który zaczął mówić. Świadcowie cudu byli zdumieni, lecz niektórzy z nich tłumaczyli uzdrowienie jako wynik zmywy Jezusa z księciem czartów Belzebubem. „Przez Belzebuba, władcę złych duchów, wyrzuca duchy”. Zarzut postawiony Jezusowi był obelgą najwyższego stopnia. Bo kim był Belzebub? Izraelici nazywali imieniem Belzebuba przywódcę złych duchów, który nazywany był również szatanem, czyli „przeciwnikiem”. Na obelgę Jezus odpowiedział spokojnym rozumowaniem: „Każde królestwo w sobie rozdwojone, pustoszeje i dom na dom się wali. Jeśli więc szatan sam w sobie jest w rozdwojeniu, jakże się ostoi jego królestwo! Bo mówicie, że ja przez Belzebuba wyrzucam złe duchy... A jeśli ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło już do was królestwo Boże”. Jezus wyrzuca złe duchy „palcem Bożym”, czyli Bożą mocą, a to jest znak, że na ziemi przyszło już królestwo Boże. Mateusz ewangelista, który również opisuje to zdarzenie dodaje, że „każdy grzech i bluźnierstwo będą odpuszczone ludziom, bluźnierstwo jed-



Jezus wyrzuca złe duchy „palcem Bożym”, czyli Bożą mocą, a to jest znak, że na ziemi przyszło już królestwo Boże

URZĄD KAPŁAŃSKI

Dla wszystkich jest chyba zrozumiałe, że różni ludzie spełniają w narodzie różne funkcje na rzecz społeczności. Także Kościół nie jest po prostu zbiorowiskiem jednostek, ale uporządkowaną wspólnotą. Wy przeto jesteście ciałem Chrystusa i poszczególnymi członkami. I tak ustanowił Bóg w Kościele najprzód apostołów, po wtore proroków, po trzecie nauczycieli, a następnie tych, co mają dar czynienia cudów, wspierania pomocą, rządzenia oraz przemawiania rozmaitymi językami. Czyż wszyscy są apostołami? Czy wszyscy prorokują? Czy wszyscy są nauczycielami? Czy wszyscy mają dar czynienia cudów? Czy wszyscy posiadają łaskę uzdrawiania? Czy wszyscy przemawiają językami? Czy wszyscy potrafią je tłumaczyć? Lecz wy starajcie się o większe dary: a ja wam wskażę drogę jeszcze doskonalszą' (1 Kor 12, 27-31).

W Kościele istnieją różne urzędy, stanowiska i posługi: już Pismo święte wymienia apostołów, proroków, nauczycieli, na innym zaś miejscu diakonów i starszych.

Wśród urzędów na czoło wybija się urząd apostołów. Jezus wybrał dwunastu spośród uczniów, których wyposażył w szczególne pełnomocnictwo, tak, iż w Jego imieniu mogli przemawiać do ludzi: „Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam (J 20, 21). Im też obiecał pomoc aż do skończenia świata: „A oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 19). A następnie uprawomocnił ich: „Kto was słucha, Mnie słucha” (Lk 10, 16).

Apostołowie, których urząd został ustanowiony przez samego Chrystusa, przekazali następnie swoje pełnomocnictwo innym mężom poprzez modlitwę i włożenie rąk: „Z tej właśnie przyczyny przypominam, abys rozpalil na nowo nadzwyczajny dar Boży, który jest w tobie przez włożenie mych rąk” (2 Tym 1, 6). Wierzyli, że zgodnie z wolą Chrystusa muszą przetrwać w Kościele aż do końca świata.

Następcy apostołów byli nazywani *nadzorcami*, po grecku *episcopi*. Z tego słowa wywodzi się „biskup”. Tak więc już św. Paweł pisze o starszych gminy efeskiej: „Uważajcie na samych siebie i na całe stado, na którym Duch Święty ustanowił was biskupami, abyście kierowali Kościołem Boga” (Dz 20, 28). Ze słowa *starsi*, po grecku *presbyteroi*, wywodzi się *prezbiter*, po polsku „ksiądz”.

Między biskupami i kapłanami nie było prawdopodobnie wówczas dużej różnicy. Ale jeszcze za życia Apostołów rzecz rozwijała się w tym kierunku, aby był jeden biskup, jako kierownik gminy chrześcijańskiej, a kapłani i diakoni wspierali go w jego urzędzie. Ten układ posługi zachował się w Kościele aż po dziś dzień.

Pochodzenie urzędu od Apostołów było dla pierwszych chrześcijan gwarancją zgodności z nauką apostołską. Na przykład około 200 roku św. Ireneusz pisze: „Dzięki sukcesji apostołskiej (następstwa) doszła do nas prawda, a apostołska tradycja stała się znana w całym świecie. Wystarczy się ich (biskupów) trzymać w całym świecie, jeśli chce się zobaczyć prawdę” (Ad haer. III, 3,1).

Stąd też, zgodnie z katolickim przeświadczeniem, władza kierowania, przepowiadania i uświęcania, wiąże się z następstwem (sukcesją), pochodząc od Apostołów. Sukcesja w urzędzie oraz zgodność z nauką Apostołów są znamionami apostołskości Kościoła. Słowo i sakramenty przekazują w Kościele przede wszystkim ci, którzy przejęli w nim stosowną władzę. Im jest zastrzeżone szafarstwo sakramentów świętych. W osobnym sakramencie święceń, który ma trzy formy — sakrę biskupią, święcenia kapłańskie oraz diakonatu, niektórzy spośród ludu Bożego otrzymują dzięki łasce Ducha Świętego wyposażenie do posługi na rzecz całej społeczności: „Każdy bowiem arcykapłan z ludzi brany, dla ludzi bywa ustanowiony w sprawach dotyczących się Boga, aby składał dary i ofiary za grzechy” (Hbr 5,1).

Jak za czasów apostołskich, tak i teraz, za pomocą widocznego znaku, sakramentu, konkretnie mówiąc przez modlitwę i włożenie rąk biskupich, władza przejęta przez Apostołów zostaje przekazana dalej. To znaczy, że dany człowiek zostaje wprężony do służby Bożej, nie należy już do samego siebie. Otrzymuje władzę kapłańską i niezatarte znamię kapłaństwa Chrystusowego.

Kapłan jest człowiekiem jak każdy inny, wymaga się od niego tej samej wiary, co i od każdego innego chrześcijanina. W momencie jednak, gdy udziela sakramentów świętych i przepowiada Słowo Boże, staje się narzędziem Chrystusa. Św. Paweł powiada: „w imieniu Chrystusa spełniamy posłannictwo (...)” (2 Kor 5,20).

Kapłan jest głosi-cielem Słowa Bożego z polecenia i w imieniu Kościoła, nadaje mu to charakter misyjny. Kieruje jego uwagę i wysiłek na powierzona mu parafię, niezależnie od tego, czy ona jest już utworzona, czy dopiero trzeba będzie tego dokonać.

I na zakończenie jeszcze jedna sprawa — celibat. Choć nie należy on do istoty urzędu kapłańskiego, to jednak, ponieważ wywołuje liczne dyskusje (o czym możemy się przekonać z korespondencji jaka napływa do naszej Redakcji), poświęćmy mu nieco uwagi.

Przede wszystkim należy podkreślić, że powiązanie kapłaństwa z bezżeństwem — które obowiązuje jedynie w Kościele Rzymskokatolickim — jest oczywiście z ustanowienia kościelnego i z tej racji może zostać zniesione. A wiele argumentów za tym przemawia.

Przez chrześcijańskie doświadczenie jest udowodnione, że połączenie w jednej osobie sakramentów kapłaństwa i małżeństwa nie tylko jest teologicznie dozwolone, ale ma wartość duszpasterską. Świadczy o tym praktyka kanoniczna wielu Kościołów, a wśród nich Kościoła Polskokatolickiego.



Na ten temat mamy też absolutnie jasne świadectwo Nowego Testamentu. Jeśli teologia rzymskokatolicka nie chce wyłączyć listów duszpasterskich z Kanonu, nie pozostaje jej nic innego, jak tylko przyjąć świadectwo pierwszego listu do Tymoteusza: „Biskup więc powinien być nienaganny, mąż jednej żony, trzeźwy, rośnący, przyzwyczajony do picia wina, nie skłonny do bicia, ale opanowany, nie kłótlivy, nie chciwy na grosz, dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością” (3, 2-4) i listu do Tytusa: „W tym celu zostawiłem cię na Krecie, byś zaległe sprawy należycie załatwił i ustanowił w każdym mieście prezbiterów. Jak ci zarządziłem, (może nim zostać), jeśli ktoś nienaganny, mąż jednej żony, mający dzieci wierzące nie obwinione o rozpustę lub niekarność” (1, 5-6). Teologowie rzymskokatolicki powinni uznać to, co im m.in. Sobór Watykański II podaje, że nauczycielski urząd Kościoła „nie jest ponad Słowem Bożym, ale mu służy” (KO, 10)).

Co więcej, jest historycznym faktem — którego teologia nie może pominąć — że byli i są żonaci księża pełniący owocnie posługę w każdym okresie Kościoła od pierwszego do dwudziestego wieku.

Wszyscy powinni więc uznać rozróżnienie między charyzmatami posługiwania po święceniach a charyzmatami celibatu. Obie formy: połączenie w indywidualnym życiu kapłaństwa z celibatem, jak i kapłaństwa z małżeństwem występowały w Kościele, obie mają uzasadnienie w Piśmie św. i obie mogą być owocne w zakresie duszpasterstwa.

MAREK AMBROŻY

Boże, sprawco wszelkiego uświęcenia, od którego pochodzi każde poświęcenie i wszelkie błogosławieństwo, zlej a Panie, na te służby Twoje, które na szczytny urząd kapłaństwa poświęcamy, dar Twojego błogosławieństwa. aby powagą w uczynkach i surowością życia sprawowali się jak starsi i byli ugruntowani w tych nankach, których udzielił Paweł św. Tytusowi i Tymoteuszowi. Niechaj Zakon Twój dniem i nocą rozważają, niechaj wierzą w to, co tam wy-czytają, niech uczyć tego, w co sami uwierzyli i niech postępują podług tego, co nauczają. Niechaj na sobie samych okazują sprawiedliwość, stałość, miłosierdzie, męstwo i wszystkie inne cnoty, niechaj przykładem swoim je zalecają, niechaj do pełnienia ich zachęcają, a łaskę powołania swego zachowują bez zmiany i skazy. Chleb i wino niechaj przemieniają za Twoim świętym błogosławieństwem w Ciało i Krew Syna Twego, na pożytek ludu. Przez miłość, nie dającą się naruszyć, niech wyrastają na mężów doskonałych, w miarę wieku niech dojdą do doskonałości Chrystusowej, a w dniu sprawiedliwego sądu Bożego, niechaj zmartwych-wstana z sumieniem czystym, z wiarą prawdziwą, pełni Ducha Św. Przez tegoż Pana naszego Jezusa Chrystusa, Syna Twego, który z Toba żyje i króluje w jedności tegoż Ducha św., Bóg po wszystkich wieki wieków. Amen

Modlitwa odmawiana przez biskupa podczas święceń kapłańskich (Rytuał Kościoła Polskokatolickiego)

SPOTKANIE W URZĘDZIE DO SPRAW WYZNAŃ

Kierownik Urzędu do Spraw Wyznań minister Adam Łopatka przyjął delegację Kościoła Polskokatolickiego w składzie: ks. bp Tadeusz Majewski — zwierzchnik Kościoła, ks. bp Maksymilian Rode i ks. bp elekt Wiktor Wysoczański.

Przedstawiciele Kościoła poinformowali o podjętej przez Polski Narodowy Kościół Katolicki w USA i Kanadzie kolejnej akcji pomocy dla Polski. W jej ramach dostarczone zostaną leki i sprzęt medyczny dla resortu zdrowia i opieki społecznej oraz pasze dla rolnictwa, łącznej wartości 2,5 mln dol. USA.

Omówiono również inne bieżące sprawy Kościoła. Min. Łopatka wyraził uznanie dla obywatelskiej postawy i społecznie zaangażowanej działalności Kościoła Polskokatolickiego.

„Wyznajemy jednego i tego samego Chrystusa, Syna, Pana, Jednorodzonego, który ma dwie natury (Boską i ludzką) z sobą nie pomieszane, nie zamienione, nie podzielone, nie rozłączne”

Formuła przyjęta przez Sobór Chalcedoński



Ojczy, spraw „aby tak jak My stanowili jedno...” (Jan 17,11)

Pod hasłem „Jezus Chrystus życiem świata” chrześcijanie różnych Kościołów w Warszawie łączyli się w powszechnej modlitwie w tegorocznym Tygodniu ekumenicznym.

W trzecim dniu Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan, 20 stycznia br. odbyło się spotkanie w katedrze polskokatolickiej pw. Ducha Św. przy ul. Szwoleżerów (róg Czerniakowskiej) Nabożeństwu ekumenicznemu przewodniczył Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego — biskup Tadeusz R. MAJEWSKI. Przed godz. 18⁰⁰ katedra wypełnia się po brzegi wiernymi, wśród których widziało się liczne grupki kapłanów, kleryków seminarium i sióstr zakonnych różnych zgromadzeń. O godz. 18⁰⁰ rozpoczęła się uroczysta Msza Św., którą celebrował Biskup Majewski w asyście alumnów Wyższego Seminarium Duchownego naszego Kościoła. Na wstępie celebrans serdecznie powitał wszystkich Dostojnych Zwierzchników i przedstawicieli Kościołów przybyłych na ekumeniczne spotkanie, zachęcając wszystkich obecnych do szczerej, braterskiej i gorącej modlitwy do wspólnego Ojca, który jest w Niebie, by słowa Jego Syna a naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, które wyrzekł w Wieczerniku „aby tak jak My (Ojczy) stanowili jedno...” (Jan 17, 11) — jak najszybciej ziściły się — byśmy wszyscy jako dzieci Boże stanowili jedno w wielkiej chrześcijańskiej rodzinie — Kościele Jezusa Chrystusa. Bolesny podział między chrześcijanami a dawniej nienawiść i walka były i są dla świata zgorznięciem. To zuboża zjednoczenie, stanowi przeszkodę w przyjęciu posłannictwa ewangelicznego i jest przeciwieństwem świadectwa życia w miłości.

Kazanie w czasie Mszy Św. wygłosił ks. dr hab. Jan Anchimiuk z Kościoła Prawosławnego, wykładowca w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Kaznodzieja, na przykładzie ewangelicznym o krzewie winnym i latoroślach (Jan 15, 1-5), wykazał, że życie chrześcijanina o tyle ma sens, o ile jest zjednoczone — wszczepione w Chrystusa, z którego czerpie soki do wzrostu i owocowania. Jeden jest tylko Chrystus, jako prawda, droga i życie. Jeszcze raz przypomniał słuchaczom, że podzielone chrześcijaństwo jest zgorznięciem dla świata. Jeśli każdy z nas jest Chrystusowy, to niech pamięta co powiedział Chrystus, o czym poucza słuchaczy w dzisiejszym Liście św. Jan Apostoł, że „Bóg jest miłością, a kto trwa w Bogu, trwa w miłości, a Bóg trwa w nim” (I J 4, 13-16).

W czasie sprawowania Najświętszej Ofiary, modlitwy kapłana przepłatał pięknym śpiewem kolęd chór katedralny pod dyrekcją ks.

Uroczystość święceń alumnów Wyższego Seminarium Duchownego w Warszawie

W dniu 10 października ub. roku w katedrze warszawskiej pw. Świętego Ducha przy ul. Szwoleżerów została odprawiona uroczysta Msza św. inauguracyjna nowego roku akademicki Wyższego Seminarium Duchownego naszego Kościoła. We Mszy świętej udział wzięli księża wykładowcy z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie na czele z Ks. Biskupem Profesorem Dr. Maksymilianem RODE, Księdzem Docentem Edwardem BAŁAKIEREM i Ks. Dr. Wiktozem WYSOCZAŃSKIM — Kierownikiem Sekcji Starokatolickiej, oraz liczni kapłani i wierni Kościoła Polskokatolickiego. Uroczystą Mszę św. celebrował Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI — Zwierzchnik Kościoła, który z tej okazji wygłosił Słowo Boże, przypominając alumnom o znaczeniu powołania kapłańskiego i odpowiedzialności za nie, wobec Boga i ludzi. Jednocześnie zachęcił seminarzystów do kształtowania umysłów wiedzą, a serc duchową formacją, aby mogli kiedyś owocnie pracować na Niwie Pańskiej.

W czasie Mszy św. Zwierzchnik Kościoła dokonał włączenia do stanu duchownego przez udzielenie tonsury, a także udzielił niższych święceń: ostiariusza, lektora, egzorcysty i akolity kilku alumnom Wyższego Seminarium Duchownego przedstawionych według przepisane Prawem Kościoła zwyczajem przez Księdza mgr. Ryszarda DĄBROWSKIEGO — Ojca Duchownego Alumnatu.

Uroczystość inauguracyjną uświetnił śpiewem pieśni religijnych chór katedralny pod dyrekcją ks. mgr. Tomasza WOJTOWICZA — dziekana warszawskiego.

Z radością podajemy do wiadomości, że Ksiądz Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI — Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego w dniu 18 grudnia 1982 r. w kaplicy biskupiej pw. Miłosierdzia Bożego, ul. Wilcza 31 w Warszawie — udzielił święceń wyższych diakonatu mgr. Marianowi Madziarowi, Januszowi Wrońskiemu, Władysławowi Pietrzykowi — studentom-klerikom Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

Wyświęceni diakoni, do chwili ukończenia studiów teologicznych i otrzymaniu święceń prezbiteratu, będą służyli pomocą w duszpasterstwie parafialnym, jak również jako asysta w uroczystych funkcjach Zwierzchnika Kościoła przy wyjazdach w teren z okazji wizytacji duszpasterskich i w innych okolicznościach.

KS. RYSZARD DĄBROWSKI

dziekana mgr. Tomasza Wojtowicza — proboszcza parafii katedralnej, a także całym sercem kolędowni zebrani w świątyni.

Po udzieleniu biskupiego błogosławieństwa, na zakończenie Mszy Św. przemówił Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego, powiadając zebranych w świątyni, że w modlitwie o jedność chrześcijaństwa łączą się z nami Zwierzchnicy innych Kościołów, którzy na jego ręce nadesłali zapewnienia o modlitwie i duchowej łączności w Tygodniu Modlitw Ekumenicznych, oraz przesłali życzenia na Boże Narodzenie i Nowy Rok, a więc: Jego Świątobliwość Patriarcha DIMITROS z Konstantynopola, z Patriarchatów: Moskiewskiego, Rumuńskiego, Bułgarskiego oraz Wielce Błogosławionych Metropolitów Świętego Kościoła Prawosławnego; Arcybiskup Canterbury R. RUNCIE, Jego Eminencja Arcybiskup Utrechtu Antoni GLAZEMAKER, oraz wszyscy biskupi Starokatolicki Unii Utrechckiej; Biskup Franciszek ROWIŃSKI — Pierwszy Biskup Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w USA i Kanadzie, a także Kardynał Józef GLEMP — Prymas Polski.

„Wszystkie pozdrowienia i życzenia przyjmujemy z wielką wdzięcznością i z radością, bo są one potwierdzeniem ekumenicznej dążności i świadczą o tym, że w wyznawaniu naszej świętej wiary tworzymy jedno. Jesteśmy wszyscy ludem Bożym, członkami jednego Ciała Chrystusowego” — powiedział Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego — Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI, który kończąc spotkanie ekumeniczne, przekazał pozdrowienie w Panu naszym, Jezusie Chrystusie oraz najlepsze życzenia noworoczne — błogosławionego i spokojnego 1983 roku.

Pozdrowienia od Kościoła Rzymskokatolickiego przekazał ks. dr Michał CZAJKOWSKI z Akademii Teologii Katolickiej.

Po zakończonej uroczystości w kościele, przedstawiciele Kościołów — duchownych i siostry zakonne oraz Radę Parafialną, gospodarz parafii zaprosił na braterską agapę do sali Ks. Bpa Franciszka HODURA. Tam na wspólnym śpiewie kolęd i przyjacielskich pogawędkach spędzono miłe chwile w prawdziwej, braterskiej atmosferze.

KS. RYSZARD DĄBROWSKI

Katherine MANSFIELD

(1888–1923)

Właściwie Kathleen Beauchamp, żona J. M. Murryego, pisarka angielska, pochodzenia nowozelandzkiego. Twórczość jej, zajmująca trwałe miejsce w rozwoju prozy psychologicznej XX w., koncentrowała się głównie na formach nowelistycznych (zbiory: „Upojenie” 1920, wyd. pol. 1962, „Garden Party” 1922 wyd. pol. 1934). Wielbicielka A. P. Czechowa, odtwarzała precyzyjnie nastroje i przeżycia wewnętrzne, znakomitym dokumentem pisarza i człowieka jest jej „Dziennik” (1927, wyd. pol. 1935).

Urodziła się 14 października 1888 roku w Wellington, stolicy Nowej Zelandii. Ojciec był urzędnikiem bankowym, matka poświęciła się domowi. Wśród pięciorga rodzeństwa Katarzyna była z kolei trzecia. W 13 roku życia wysłano ją do szkoły w Londynie. Interesowała się muzyką. Z czasem bardzo dobrze grała na wiolonczeli. Po skończeniu studiów powróciła do domu, później znowu

Londyn, pierwsza miłość bez powodzenia do muzyka Arnolda Trowellera. W 1909 wyszła za mąż za George’a Gowdena, małżeństwo było nieudane. W 1911 poznała Johna Middletona Murry, historyka literatury, redaktora, krytyka i wydawcę. Po unieważnieniu pierwszego małżeństwa pobrali się w 1918 roku. Rok wcześniej zapadła na serce i płuca. Odtąd do śmierci będzie przebywać w ośrodkach kuracyjnych Szwajcarii, Włoch i Francji. Na rok przed śmiercią przykuta została do łóżka. Znajduje się przez całe lata w ubóstwie. Zmarła 9 stycznia 1923 roku w Avon-Fontainebleau koło Paryża. Przyczyną śmierci był nagły krwotok. Dorobek literacki Katarzyny Mansfield jest niewielki. W literaturze angielskiej jest największą przedstawicielką short story. W utworach pisarki przewija się filozoficzna refleksja nad własnym życiem i światem. Źródłem tego wszystkiego jest choroba, sanatoria, brak osobistego kontaktu z najbliższymi. Siedząc w paryskiej kawiarni pisała do Murryego 19 marca 1915 r.: „Znasz przecież dziwną ciszę, która przenika serce — ta sama cisza zapada na minutkę przed podniesieniem kurtyny. To właśnie odczuwałam i uświadamiałam sobie, że będę tu mogła pracować. Chciałabym, żebyś napisał kiedyś poemat o tej ciszy. To także szczególne uczucie: Jakby coś w rodzaju śmierci, zanim tchnie nowe życie. W chwili kiedy ty piszesz, widzę niemal poemat, który ty stworzysz. Widzę Boga, który sływa na pierś człowieka, a ów Bóg jest bardzo groźny”.

Przebywając w Bandol, widziała w kościele żłóbek „zrobiony przez dzieci. Jest po prostu cudny. Krajobraz z domami malowanymi na teksturze — (nie brakują nawet okiennice u okien —) wiatrak, mostki z drobnych gałązek, fontanny z wąskich pasków srebrnego papieru, drogi z prawdziwego piasku, wzgórze i doliny z mchu zbieranego w lesie. Drzewa tkwią w mchu i są obwieszane srebrnymi gwiazdami (o wiele za dużymi). Pod drzewami stoją owce, pasterze i trzej królowie (jeden czarny z ogromnymi białkami). Tłuste aniołki gnieźdzą się w różnych miejscach, a w czystej tekturowej grocie siedzi Maria, święty Józef (zdziecinniały

starzec) i nagi petit Chesau jak Go to nazywają, który otwiera i zamyka oczy. Kiedy zasłama do kościoła, ksiądz pokazywał to cudo jakiemuś maleństwu, ale dziewczynka szepnęła tylko przyciszonym głosem: „Il est tout nu”! (tłum. autora „On jest zupełnie nagi”!). Na drzewie siedzi gołąb — pijany ptak większy od wołu i osła. A z jednego domu wygląda głowa oberżysty — który mówi Marii, że nie ma wolnego pokoju”. W Boże Narodzenie obiad jadła sama. „... to straszna rzecz, a nawet nieprzyzwoita, jeść samej obiad w dzień Bożego Narodzenia”.

Zdrowie nie służyło Katarzynie. Dokuczał jej szczególnie reumatyzm. „Boże mój: Jakim przekleństwem może się stać ciało, a raczej kości. Jestem tak zgnębiona, że nie potrafię sobie wyobrazić, co by mnie mogło znowu podźwignąć”. Ma żal do Boga, że nie może być w różnych miejscowościach. „Patrzę na ten cudny dzień i myślę: Mogłabym być teraz w Hawrze. A tu marnuje życie. Dlaczego Bóg tak z nami postępuje. To nie uczciwie”. Kiedy patrzy na wojnę, stwierdza, że „Bóg jest potworem”, ale są i takie „chwile, w których człowiek mimo woli buntuje się, a wówczas otwierają się słuzy i boska fala nas ponosi”. I gdy te chwile przeważają, nie waha się wtedy pisać „Bóg w swej nieskończonej mądrości dozwolił, aby niebo przybrało znów niebieską barwę”. Obserwując ludzi zdrowych zadaje sobie pytanie. „dlaczego muszę chorować. Wszyscy przechodnie są tacy zdrowi, tacy krzepcy. Chodzą i biegają, kiedy im przyjdzie ochota albo przejeżdżają, wiosłując, na łódeczkach. Może kiedyś kłątwa będzie ze mnie zdjęta”.

W lipcu 1919 roku pisała do Ottoliny Morrell, że jest samotna i opuszczona. Prosiła o modlitwę w jej intencji. Pragnieniem Katarzyny jest „tylko istnieć i pracować”. I stwierdza, że to naprawdę lepsze od wędrówki do nieba...” Do Doroty Brett zwraca się w liście: „Módl się za mnie, moja miła. Jeśli w Oksfordzie jest katolicki kościół, zapal tam świeczkę na moją intencję”.

dokończenie na str. 6

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (719)

w opracowaniu bpa M. Rodego



Oleśnicki Zbigniew — (ur. 1389, zm. 1455) — biskup krakowski, kardynał, wybitny działacz: kościelny, społeczny, polityczny — o konserwatywnym ukierunkowaniu, mąż stanu, znany w kraju i za granicą, opiekun i mecenas nauki i sztuki.

Olevian Kacper — (ur. 1536, zm. 1587) — to bardzo zaangażowany niemiecki wyznawca i krzewiciel — kalwinizmu, profesor teologii. Napisał m.in. *De substantia gratuiti foederis inter Deum et electos* (1585), czyli *O istocie dobrowolnego przymierza między Bogiem i wybranymi*.

Oliver Jan Jakub — (ur. 1608, zm. 1657) — francuski ksiądz rzymskokatolicki, założyciel — Sulpicianów, propagator wzorowo zorganizowanych seminarium duchownych i osobliście organizator wzorowego seminarium kapłańskiego w Paryżu w parafii czy przy parafii p.w.św. Sulpicjusza, której to parafii był równocześnie proboszczem. Jego zaangażowana działalność dawała widoczne i jak najbardziej pozytywne rezultaty w zakresie ascetycznej i intelektualnej formacji osobowości kapłanów, wychowanków tegoż seminarium.

Oliwetanie — to członkowie zgromadzenia zakonnego, założonego w XIV wieku przez Bernarda z Tolomei. Zgromadzenie to przyjęło regułę zakonną — św. Benedykta. Pierwszy klasztor został zbudowany i zorganizowany na Monte Oliveto (wł. czyli na Górze Oliwnej), we Włoszech, niedaleko miasta Sieny, a w pobliżu miasteczka Chiusari. Obok dążenia zakonników do osobistego zdobywania coraz wyższego stopnia doskonałości chrześcijańskiego życia głównym celem tego zgromadzenia, które wkrótce zorganizowało przede wszystkim we Włoszech nowe klasztory w różnych miejscowościach, było uprawianie i upowszechnianie wiedzy teologicznej. Ze zgromadzenia tego wyszło też немало wysoce

teologicznie wykształconych dostojników kościelnych: kapłanów i biskupów, również kardynałów. Powstało też żeńskie zgromadzenie oliwetanek, kultuwujące te cele. Poza Włochami zgromadzenie to i jego klasztory znane były i są również m.in. w Angli, Szwajcarii i w obu Amerykach.

Oliwna Góra — to zespół szczytów górskich, z których najwyższy liczy 830 m wysokości, rozciągający się w pobliżu Jerozolimy a oddzielony od niej rzeczką Cedron, zespół wywodzący swą nazwę z pewnością od rosnących tam drzew i krzewów oliwnych. Góra ta, czy wzgórze, ale i podnóże i okolice (→ Getsemani), znana jest, upamiętniona i utrwalona w Piśmie św. Nowego Testamentu (→ Biblia) z pobytu tam Jezusa Chrystusa i scen, związanych z Jego życiem i działalnością. Np. z Betfage, niewielkiego środowiska, leżącego u podnóża Góry Jezus rozpoczął swój wjazd do Jerozolimy, w Niedzielę Palmową; w pobliżu leżała miejscowość Betania, w której mieszkał Łazarz ze swoimi siostrami: Marią i Martą, u których nieraz gościł Jezus Chrystus. Z Góry Oliwnej po dokonaniu swego zbawczego Dzieła na Ziemi Jezus Chrystus wstąpił do nieba (por. Dz. Ap. I, 9–12).

Olle-Leprune Léon — (ur. 1839, zm. 1898) — francuski filozof rzymsko-katolicki o liberalnym ukierunkowaniu. Jest autorem szeregu książek, a spośród nich tu wymienić należy następujące: *De la certitude morale* (wiele wydań), czyli *O pewności moralnej*; *De Aristoteleae ethicae fundamento*, czyli *O podstawie etyki Arystotelesowej*; *Essai sur la morale d'Aristote* (1881), czyli *Esej na temat moralności według Arystotelesa*; *La Philosophie et les temps present* (1891), czyli *Filozofia i czasy współczesne*; *Le Prix de la vie* (1894), czyli *Cena życia*; *La Raison et Rationalisme* (1906), czyli *Rozum i racjonalizm*.

Myśli stale o śmierci. „... przyroda drwi ze mnie i przeraża mnie. Zdrowi ludzie są mi wówczas niewypowiedzianie pomocni. Zauważyłam to wielokrotnie”. Zdaje sobie sprawę, że jest przez chorobę ciężarem dla męża. Zal ma jednak do Boga. „Nie powinieć był mnie wybrać na towarzyszkę podróży. Ale nie; z tym się nie zgadzam. Zrobiliśmy dobry wybór — jak najlepszy wybór. My spełniliśmy to, co do nas należało, a tyko... Wszelchwałny „Majster” okazał się bezlitosny”. Ataki gorączki ponawiają się. „Bardzo mnie osłabił ten ostatni napad gorączki, ale dzięki Bogu, czuję się chwilowo spokojniejsza”. Zdaje sobie sprawę, że może umrzeć. A wtedy może trafi „do małego zacisznego nieba tylko dla suchotników. W takim razie spotkam się z Czechowem, który będzie spacerował po ścieżkach obramowanych rabatami z kwitnących tulipanów i obsadzonych z obu stron drzewami. Na dróźnie będzie siedział pies Czechowa, zziębnięty i lekko uśmiechnięty, jak zwykle pies, który się nabiegał.

Kiedy o tym myślę, mam uczucie, jakby mi serce topniało, to bardzo dziwne”.

W intencji dzieci uczących się wznosi modlitwę do Boga dobrego, a nie złego, jak Go niektórzy przedstawiają. „Miły Boże! Pomysł o wszystkich główkach pochylających się nad małymi stronicami, o rączkach kreślących litery, pomysł o izbach, w których te dzieci siedziały, o migotliwym świetle padającym na książkę częściowo od świecy, częściowo od ogniska. Cóż to musiało być za przerażenie, kiedy dzieci czytały o Straszliwym Bogu, który na nie czyha, aby je wtrącić w wieczysty ogień, gdzie spala się na popiół i zeschną się jak trawa!...”

Nie może pogodzić wiary z nauką, cierpienia z dobrocią Bożą. „Chciałabym móc uwierzyć w Boga — nie mogę. Nauka to niemożliwa. A nawet gdybym uwierzyła w Boga, musiałby to być Bóg dobry. Jednak żaden dobry Bóg nie pozwoliłby tak cierpieć swoim dzieciom. Nie, życie jest dla mnie

tajemnicą; składa się z miłości i cierpienia.” Dostrzega ubóstwo sztuki. „...jedną z przyczyn... jest brak religii u artystów. Oni są — mówiąc językiem Biblii — owczarnią bez pasterza... a przecież w gruncie rzeczy są kapłanami”.

Niepokoi się o swoją duszę i zbawienie. Zwraca się w tej sprawie do męża. „Czy niepokoje Cię Twoja dusza? Bo ja o moją się lękam. Czuję dopiero teraz, że pragnęłabym być zbawiona. Uświadomiłam sobie, co znaczy zbawienie i gorąco go pragnę. Nie występuję tu oczywiście w roli chrześcijanki i nie mam na myśli jakiegoś uosobionego Boga; lecz istnieje we mnie poczucie... wiary (i to silnej wiary); niewiaro moja broń się. Wołam do siebie samej — do mego ducha, do mojej najwewnętrzniejszej istoty — do tego, co we mnie żyje pięknem. Ostatnimi czasy stanęła przede mną cała moja przeszłość — przeżyłam ją na nowo i wyszłam bardzo osłabiona i całkiem odnowiona. Ziemia (bynajmniej nie wonna) wydała wreszcie coś, co nie jest zielskiem. Wierzę (po Bóg wie ilu fałszywych alarmach), że jest to plon zasiewu. Ale kosztowało mnie to 32 lata ciemności...”

I jestem spragniona cnoty — życia według tego, co niezmiennie w duszy”.

Pisanie w górach Szwajcarii przypomina Katarzynie „spowiedź w obliczu Stwórcy” a również czuje się jakby „żyła pod baczny okiem Stwórcy”. Nieustannie całym swoim życiem i swoimi dziełami chciałaby wierzyć w Boga. „Położyłam pióro po napisaniu „Bogu niech będą dzięki”. Chciałabym, aby Bóg istniał. Gorąco pragnę: 1) chwalić Go, 2) dziękować Mu. Moja książka nosi tytuł „W zatoce”... mam nadzieję, że ta książka jest dobra. Jest na tyle dobra, na ile mnie stać, włożyłam w nią całą duszę i całe serce... aż do ostatniego kawałka. O Boże! Mam nadzieję, że sprawi komuś przyjemność...”

Katarzyna widzi, że z całego życia pozostała jej nadzieja, a nawet wiara. I dziwi się temu. „Gdyby mi było dozwolone wznieść

jeden jedyny okrzyk do Boga, zawołałabym: Chcę być rzeczywista! Nie widzę, jak zdołam inaczej wyzwolić się od rozmaitych przejawów dawnej Ewy i nie być zawsze na jej łasce... W obecnej chwili wiem na pewno, ale to zupełnie na pewno: choć wszystko zostało mi odebrane kolejno, nie jestem unicestwiona — zachowałam nadzieję — więcej niż nadzieję — wiarę. Trudno to wytłumaczyć...”

31 grudnia 1922 roku napisała do męża zapraszając go do siebie. Murry, mąż Katarzyny, przyjechał 9 stycznia 1923 roku do Fontainebleau. Oto co pisze o ostatnich chwilach życia swojej żony: „Nie widziałem ani też zapewne nie zobaczę już nigdy piękniejszej kobiety niż Katarzyna Mansfield tego dnia; miało się wrażenie, że doskonałość, która tkwiła w jej duszy, zawładnęła nią wreszcie całkowicie. Znikła, używając jej własnych słów, reszta „osadu”, ostatnie ślady „mętów ziemskiego upadku”. Lecz by to osiągnąć, oddała życie.

Gdy tegoż dnia o dziesiątej wieczór udała się na górę do swojego pokoju, schwycił ją atak kaszlu, który skończył się gwałtownym krwotokiem. O wpół do jedenastej już nie żyła”.

KS. BOGUSŁAW WOŁYŃSKI



MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (720)

Olivier Franciszek M.J. — (ur. 1835, zm. 1910) — francuski dominikanin, ks., kaznodzieja ceniony i pisarz teologiczny. Napisał m.in. *La Passion, essai historique* (1895), czyli *Męka*, esej historyczny; *L'Église, sa raison d'être* (1898), czyli *Kościół*, jego racja istnienia; *Nos Malheurs, leurs causes, leurs remèdes* (1897), czyli *Nasze nieszczęścia*, ich przyczyny, środki przeciw nim; *Petites méditations sur les litanies de la Sainte Vierge* (1898), czyli *Krótkie rozważania na temat litanii o Najświętszej Pannie*; *La vie cachée de Jésus. Étude historique l'enfance et la jeunesse du Rédempteur*, czyli *Ukryte życie Jezusa*. Studium historyczne o dzieciństwie i młodości Zbawiciela; *La Mission providentielle de Jeanne d'Arc*, czyli *O opatrnościowym posłannictwie Joanny d'Arc*.

Olshausen Herman — (ur. 1796, zm. 1839) — to niemiecki ewangelicki egzegeta i teolog, profesor uniwersytetu w Królewcu, a potem w Erlangen. Jest autorem kilku dzieł specjalistycznych z zakresu egzegezy niektórych ksiąg Pisma św., np. *Evangelii według św. Mateusza* oraz *Ksiąg Królewskich*. Jest też autorem cennej pracy pt. *Die Echtheit der vier kanonischen Evangelien* (1823), czyli *Autentyczność czterech kanonicznych Ewangelii*.

Olszański Jan — (ur. 1811, zm. 1889) — ks. rzymskokatol., od 1840 r. adiunkt filozofii, a od 1852 r. profesor — Warszawskiej — Akademii Duchownej w Warszawie. Jest autorem szeregu artykułów i przyczynków naukowych oraz książki pt. *O edukacji duchownej* (1849).

Ołtarz — (łac. altare = zwłaszcza górna część stołu ofiarniczego, na której palił się ogień ofiarny) — to, najogólniej mówiąc, miejsce, na którym składało się od dawien dawna i składa się ofiarę (czy ofiary) w mitologicznych i pogańskich kultach i religiach — bogom, czy bóstwu, bliżej nie-

określone, a Bogu w religiach monoteistycznych (w mozaizmie — Jahwe'emu, w chrześcijaństwie — Trójcy Przenajświętszej, czyli Jednemu Bogu w trzech Osobach)... Zrazu ołtarze albo były wybranym miejscem na wzniesieniu, pagórkę, usypną z ziemi i kamieni, albo były to przypominające późniejszy i obecny prostokątny stół odpowiednio ułożone kamienie, płyty kamienne itp. i też początkowo lokalizowane na wolnym powietrzu, później, kiedy poczęto wznosić kaplice i świątynie jako miejsca pobytu bogów, budowano je czy umieszczano je przed nimi, a z czasem i w ich wnętrzu, w gajach, a również za czasów rzymskich II/I w. przed Chr. i w następnych jeszcze kilku wiekach, również na placach publicznych. W wielu przypadkach ołtarze u dawnych pogańskich ludów i w bogatych państwach starożytności miały swoją własną architekturę, były bogato zdobione i odznaczały się zarówno monumentalnością, jako też manifestowały swoją strukturą i wyposażeniem swój sakralny charakter.

Chrześcijaństwo przejęło ołtarz jako miejsce składania ofiary z dawnych czasów, ale uczyniło go miejscem składania najwyższego kultu i najwyższej Ofiary Mszy Św. Trójcy Przenajświętszej i w oparciu jednak przede wszystkim o bezpośrednie miejsca ofiarnicze, którymi były: stół, przy stole bowiem Jezus Chrystus wraz z apostołami w Wielki Czwartek spożywał wieczerzę paschalną — Ostatnią Wieczerzę, oraz krzyż na Golgocie, na którym sam Jezus Chrystus złożył Trójcy Przenajświętszej ofiarę ze swojego życia. W chrześcijaństwie pierwszych wieków ołtarzem był stół lub zwłaszcza kiedy modlono się w katakumbach, grób, szczególnie grób, czy groby męczenników chrześcijańskich. Później, szczególnie od IV—V w. w miarę, jak chrześcijaństwo rosło w liczbę i w znaczenie jako religia państwowa i budowano coraz okazałsze i większe świątynie, ołta-

KTO CHCE ZACHOWAĆ SWOJE ŻYCIE, STRACI JE

Jak większość chrześcijan, nie jestem egzegetą i nie mam wiele czasu na czytanie, toteż nie jestem zorientowany w najnowszych pracach egzegetycznych. Nie powiem więc wam nic nowego, pragnę raczej zachęcić was do nawiązania kontaktu z Chrystusem na płaszczyźnie waszego chrześcijańskiego życia i naświetlić zagadnienie waszego powołania jako ludzi ochrzczonych (...)

To, czego wymaga od nas powołanie, mieści się w perspektywie otwierającej się przed człowiekiem, który chce być sobą. Życie chrześcijańskie pozostaje zawsze i przede wszystkim życiem w pełni ludzkim. Mamy je realizować zgodnie z tym, co otrzymaliśmy od Boga i cośmy Jemu poświęcili. Dajemy Mu przecież swoje życie!

Jezus powiedział: „*Beze mnie nic nie możecie uczynić*” (J 15, 5). Trzeba dobrze zrozumieć te słowa, ponieważ na pierwszy rzut oka wydaje się to przesadą. Oczywiście bez Chrystusa możemy zrobić bardzo wiele! Ludzie byli nawet skłonni twierdzić, że bez Chrystusa mogą zrobić wszystko. A jednak musimy słowa Chrystusa potraktować bardzo poważnie. Wciąż mamy przed oczyma ubóstwo naszego życia i niemoc w dziedzinie duchowej wolności. Czy sądzimy, że jest wśród nas choćby jeden człowiek, który nie miałby poczucia ubóstwa swojego życia? Tak sądzą również ci, którzy zaawansowani w latach i doświadczeni w sprawach Bożych! Zresztą do Chrystusa można się zbliżyć tylko w stanie wewnętrznego ogołocenia, kiedy człowiek nie ma złudzeń co do siebie i swego życia. Możemy doświadczać

stwierdzić prawdziwość słów Chrystusa: „*Kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je*” (Mt 16, 25).

W duchu pokory musimy podejmować każde rozważanie na temat osoby Jezusa. Trzeba rozszerzyć swe serce i umysł, jak dziecko, które może to robić bez żadnych uprzedzeń. Musimy być gotowi we wszystko uwierzyć, wszystko przyjąć od Jezusa, nawet — a może szczególnie — wtedy, kiedy będzie nam mówił o sprawach nieba. Musimy też starać się o pokorę umysłu. Wiara jest posłuszeństwem umysłu. W obecnych czasach jest to sprawa bardzo trudna. Mamy wiarę, ale wolelibyśmy, żeby ona nie wymagała od nas myślenia o rzeczywistości pozaziemskiej. Jest to jedna z największych przeszkód, jakie napotyka wiara w obecnej dobie: trudno nam przyjąć, że zawiera ona w sobie pewne treści poznawcze. Pojmujemy ją raczej jako ogólną postawę wobec życia, jako uczucie, jako pewną koncepcję egzystencji, jaką proponuje nam Ewangelia, jako pewnego typu nadzieję, której treści nie ośmielamy się już bliżej określać. Zapewne jest to wiara czynna, wiara, która oddaje nas Chrystusowi, wiara w Osobę. Jedynie w świetle wiary rozważania dotyczące osoby Jezusa nabierają prawdziwej wartości. Możemy poznać tylko w tej mierze, w jakiej pozwolimy, aby prawda przeniknęła i przemieniła nasze życie. Musimy „*czynić*” prawdę, a ona nas wyzwoli, ona nas „*Uświęci*”.

René Voillaume, *Wieczny i Żywy*

Ukazało się drugie wydanie (poprawione i uzupełnione) książki (powiel.).

bp. prof. dr. Maksymiliana RODEGO pt.:

ZARYS DZIEJÓW MYŚLI FILOZOFICZNEJ,
stron 411, cena 130 zł.

Nadto są jeszcze do nabycia następujące książki autorstwa bp. M. Rodego:

IDEOLOGIA SPOŁECZNA NOWEGO TESTAMENTU,
tom III.

(Instytucje społeczne. Złote myśli społeczne. Konkordancja. Stron 587, cena 60 zł. Tomy: I i II są wyczerpane).

FILOZOFIA DZIEJÓW ROZWOJU MYŚLI SPOŁECZNEJ.

Tom I — *Prastarożytność*, stron 551, cena 80 zł.

FILOZOFIA DZIEJÓW ROZWOJU MYŚLI SPOŁECZNEJ.

Tom II — *Starożytność*, stron 515, cena 80 zł.

Książki te nabyć można tylko bezpośrednio w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej 00-246 Warszawa, ul. Miodowa 21, albo za zaliczeniem pocztowym.

Mówisz do nas...

Z GŁĘBI SERCA

Mówisz do nas przez ducha tęsknotę,
majestatem burzy i pieśnią ciszy...
w błyskawicach lśnienie, które schodzą
kędys z góry — niby znak na drogę.
Wiem, że każde drgnienie serca słyszysz,
wiem, że patrzysz blaskiem słońca złotym...

Mówisz do nas w myślach, co się korzą...
budzisz Prawdę — wyrzutami sumień
tu gdzie krzywdą zciemnia Twoją jasność
Gdy błądzimy w świadomości własnej,
pomoc każdej nadziei dać umiesz
głębią przeczuć, co ponad rozumem!

Zew Twój płynie... lecz go świat nie słucha —
Przepych jednych — czyni drugich nędzę
i po cierniach idą nogą bosą...
umęczonym wołając Cię głosem:
„Przetwórz pogoń za blaskiem pieniądza
w nieomylnie panowanie Ducha!”...

Eugenia Srednicka

Cisza wieczorna

Pracowitym dzień letni, pelen gwaru i krzyku,
Pelen znoju i potu, zmęczenia.
Czy to na wsi, na roli, czy też w mieście, na bruku,
Wszędzie pośpiech i trud bez wytchnienia.

Ale słońce się chyli, wkrótce biegu dokona,
pochowało prażące promienie.
Cichy wieczór przygarnia cały świat w swe ramiona,
Niosąc ciszę i błogie wytchnienie.

Przycichł świat hałaśliwy, wiatr swój oddech powstrzymał,
Wyrównała się tafla jeziora.
Bezszelstnie po górach i po wszystkich nizinach
Rozpostarła się cisza wieczora.

Oczy wznoszą się w górę, w nieba skrzące przestworze,
Które jakby zamarło w bezruchu:
„Czy to mi się zdawało, czyś Ty mówił coś, Boże?
Mów, ach mów, bo Twój sługa cię słucha!”

Adela Bajko

Zmierzch

Jak groźnie, jak surowo
Przemawiasz do mnie, Panie,
Wieczorem, gdy Twe słowo
Zawiesza nad mą głową
Ciemności tych otchłanie!

Jak mówisz do mnie smutnie
Swą krwią, w zórz mrących
mroku,

Którą nasz grzech okrutnie
Wyzwał, a Tyś rozrzutnie
Wytoczył z swego boku!

O, bądź mi dobroczynny
W litości swej wszechmocy!
Ach — ongi jasny, inny —
Do dna się czuję winny
Ciemności tej i nocy!

Leopold Staff

W życiu artystów

*Oczy w nią patrząc weselić się muszą,
Bo od jej źrenic słodycz w serce ciecze.
Kto nie oglądał ten pojąć nie zdoła,
Spojrzeniem radość roznosi dokoła,
Gdyż jej pogody pełne, nadczłowiecze
I mówi, każąc duszy: „Westchnij, duszo!”*

(Dante Alighieri)

Paryż przelotem XIX i XX wieku. Jak Paryż, to artyści. Jak artyści, to kobiety. Jakie były, jaką rolę odegrały w życiu mistrzów pędzla? Spójrzmy na

dwie postacie kobiece stojące u boku dwóch wielkich malarzy schyłku XIX wieku: Amadeo Modiglianiego i Augusta Renoira.

Modigliani to artysta niepokojący, bo dzieła jego rodziły się z niepokojącej duszy. W ograniczonym i odosobnionym świecie swoich portretów zmieścił głębszy i bardziej przejmujący obraz ludzkości niż cała rzesza malarzy, którzy z niepohamowaną rozrzutnością ciskają na płótno tłum postaci i form. Jest to świat bezlitosnego bólu i rozpaczliwej udręki, lecz zarazem świat drogi nam, ponieważ jest w nim balsam czułości, odwaga i piękno, urok kobiecych ciał i solidna materia.



A. Modigliani, Jeanne Hebuterne oparta na krześle

Ostatnią i największą miłością Amadeo Modiglianiego była Jeanne Hebuterne. Modi (jak go zwali przyjaciele) wbrew dotychczasowym zwyczajom głośno przyznawał się, że ją kocha, czego nigdy jeszcze nie słyszano z jego ust o innej kobiecie. Jeanne miała na niego dobry wpływ, pokierowała nim, skłoniła go, żeby dbał o swoje zdrowie, prowadził regularny tryb życia, pracował pilnie, słowem, nawróciła go na właściwą drogę. Jeanne, dziewczyna „szczupła, smukła jak gotycka statua, z włosami zaplcionymi w dwa długie warkoczki, z niebieskimi oczyma w kształcie migdałów” było osobą jakby stworzoną po to, żeby pokochać Modiglianiego. Rozumiała go, w jej uczuciu dla niego była szczególna, niezwykła siła. Modi był dla niej wszystkim: ojcem, bratem, mężem i narzeczonym. Modi ramieniem obejmujący przytuloną do niego Jeanne symbolizował łączącą ich więź: bronił jej, a ona czuła się w jego objęciu bezpieczna i podnosiła ku niemu wzrok z milczącym ekstatycznym uwielbieniem.

Była Jeanne kobietą ofiarną z charakterem i wolą, świadomą tego, czego chce. A chciała Modiglianiego za wszelką cenę, choćby kosztem największych wyrzeczeń. Jeśli czuła się jego dzieckiem, on w niej widział kobietę jedyną, wielką miłość swojego życia, ognisko skupiające jego najlepsze uczucia. Na swej samotnej nieszczęśliwej drodze spotkał wreszcie z dawną upragnioną cud. Może nie zdawał sobie sprawy, ale w tym okresie malował tak, jak od początku pragnął, urzeczywistniając narzeczcie zasadę, którą sformułował w liście do Oskara Ghigli w 1902 roku:

„Twoim obowiązkiem jest nigdy nie zmarnować, nie złożyć w ofierze samego siebie. Twoim prawdziwym obowiązkiem jest ocalenie własnych marzeń. Samo piękno stawia bolesne żądania, lecz właśnie dlatego skłania do najwznieślejzego wysiłku duchowego. Każda przewyciężona przeszkoda potęguje siłę woli, dostarcza żywej, coraz szlachetniejszej odnowy natchnienia. Uważaj za świętość wszystko, co pobudza i podnieca. Twój intelekt. Staraj się prowokować, odświeżać te ożywcze siły, bo tylko one są zdolne pobudzić twój umysł do maksymalnej energii twórczej. O to powinniśmy walczyć. Czyż możemy osiągnąć te cele skrzepowani przez ciasne moralne reguły?

Zawsze mów otwarcie, co myślisz i twardo idź naprzód. Człowiek, który nie umie znaleźć nowych ambicji, a nawet nowej indywidualności w samym sobie, człowiek, który wiecznie szamocze się z tym, co w nim pozostało przegniłe i dekadentkie, nie jest mężczyzną”.

Jeanne Hebuterne dodała mu sił do wytrawiania. Dała mu szczęście, stała się tchnieniem życia, które na chwilę uczyniło mocnym to serce.

Jeanne była najulubiejszą modelką Modiglianiego. Nigdy nie znudził się jej portretowaniem. Za każdym razem widział w niej inną osobę. Malował ją rozmaicie: z włosami rozpuszczo-

nymi i zaplcionymi w warkoczki lub też, jak na pierwszych portretach, w niezwykle kapeluszu, który sobie upodobała. Przybierała różne niezliczone pozy, wytrzymywała w nich przez długie godziny, gdy ją malował. Nigdy nie miał piękniejszej, bardziej idealnej modelki. Jeanne była najlepsza. Musiał dla niej zdobywać się na najlepsze, na co go było stać, pragnął w obrazach wypowiedzieć swoją miłość dla niej. Nadawał jej wygląd i wyraz przewyższający rzeczywistość. Malował swoją wewnętrzną wizję, to, co sam nazwałby: odzwierciedleniem duszy Jeanne.

Modigliani wiedział, że prawdziwym obliczem człowieka nie jest to, które ukazuje on światu. Do tego, co widział, dodawał to, co czuł i co kryło się za niezgłębioną wizją ukochanej. Te obrazy miłości były jego własnym twórczym dziełem, językiem, w którym niestrudzenie, z uwielbieniem powtarzał: Kocham cię. Miłość Jeanne dla niego także jest widoczna na tych portretach. Jeśli wydłużał jej szyję, deformował twarz, przeobrażał rysy tak, że portrety nie były już podobne do Jeanne — czy może do żadnej istniejącej na świecie kobiety — nie miało to znaczenia. Te obrazy były wymownym hołdem składanym pięknej kobiecie.

O głębi jego uczucia do Jeanne świadczy też fakt, że jej nigdy nie rysował ani nie malował nagiej — w przeciwieństwie do wszystkich innych kobiet, które w ciągu swojego życia kochał. Nie dlatego, by nie nadała się na modelkę do aktu. Była dla Modiego zbyt cenna, zbyt kochana, tak bardzo jego własna, że nie chciał dzielić się nią z nikim. Co prawda, wolał zostawić ją w domu, by go nie kępowała, ale jednocześnie nie chciał, aby ktokolwiek inny oglą-

dał jej ciało. Jeanne to rozumiała. Potrzebna mu była taka, jaką ją widział w swojej wyobraźni. Żeby mu to dać, poświęciła wszystko inne, całe swoje młode życie. Uwielbiała go.

Modigliani cieszyłby się, gdyby wiedział, że portrety Jeanne często uważane są za jego najpiękniejsze dzieła. Portretując ją mobilizował wszystkie dary swojego talentu, wszystkie jego niedoścignione różnorodności możliwości. Manifestacje namiętności są zawsze nieproporcjonalne do przedmiotu, który ją wzbudza. W żadnym dziele Modiglianiego takie zastąpienie proporcji anatomicznych przez emocjonalne nie przejawia się tak wyraźnie jak w dwudziestu portretach, którymi uczcił piękność Jeanne Hebuterne.

Przeglądając te listy miłosne — bo tym są właśnie jego portrety pisane z rozmachem na płótnie — wyczuwamy niezawodnie w miękkości kolorów, w kruchej delikatności tonów i uroczej dyskrekcji, z jaką ustalone są relacje pomiędzy elementami obrazu, wyraz miłości, równie dyskretny jak ekstatycznej. Modigliani przemawia głosem ścisłym, niemal szepcze, jak kochanek szepczący ukochanej na ucho czule słówko. Te obrazy skąpane są w świetle uwielbienia. Uwielbienia do kobiety, która obmyła go z bólu i goryczy, w jakiej trwał przez długi czas. Modigliani kochał i był kochany, wierzył i w niego wierzone. Kochał życie i przygarniał je do serca.

Jaką rolę odegrała najważniejsza kobieta w życiu innego artysty, Augusta Renoira?

W początkach 1880 roku Renoirovi pozowała dosyć często pewna młoda osoba, Alina Charigot, szwaczka z pracowni krawieckiej. Poznał ją u mleczarki, u której się stołował. Ta

Radość życia jest główną cechą Augusta Renoira. Ponieważ zupełnie nie stwarzał sobie komplikacji i dramatów, a przy tym pełen był pogody ducha, nic nie zdołało obalić jego wiary w życie, sfalszować głosu sławiącego piękno świata. Toteż nic dziwnego, że choć słaby i chorowity, stał się w tak naturalny sposób malarzem wiecznego lata, gdzie kobiety spoczywają wśród kwiatów na dziewiczej ziemi.



A. Renoir, śniadanie wioślarzy (pierwsza z lewej żona artysty)



A. Renoir, Gabriela (daleka kuzynka siostry artysty)

mała wieśniaczka, której patronka radziła, by znalazła sobie „bogatego i nie bardzo młodego męża”, patrzy w artystę jak w tęczę. Ten nieźle spełnia ostatni warunek, lecz nie jest bogaty, no i nie ma pociągającej powierzchowności, rażą jego zapadnięte policzki, tiki w twarzy, rzadka broda, krzaczaste brwi i nieco przygarbione plecy. Alina nie zna się wcale na malarstwie, a jednak patrząc na malującego Renoira doznaje dziwnego wzruszającego wrażenia pełni. Ma niewyrozumowane, niejasne, lecz silne uczucie, że przebywając z nim, bliska jest czegoś bardzo ważnego i prawdziwego, czego nie potrafiłaby określić. Czegoś zasadniczo różnego od tego, co znała dotychczas.

Ten mężczyzna, który patrzy na nią, a potem nakłada farby na białe płótno, nie mieści się, dzięki swym problemom, sposobowi życia, stosunkowi do ludzi i rzeczy w zwykłym świecie. Nie sposób w tym świecie znaleźć do niego klucza. Gdy kończy malować, podciąga nogi do góry, opiera stopy na krześle i dwukrotnie pocierając nerwowo nos wskazującym palcem patrzy na płótno, na modelkę i uśmiecha się. Uśmiecha się jak zadowolone dziecko. „Znajdź sobie bogatego męża...” Kierując się nieomylnym kobiecym instynktem, z powagą właściwą młodości, która odrzucając fałszywe pozory zmierza do istoty rzeczy, Alina od chwili, gdy zamieniła z malarzem pierwsze słowa, zainteresowała się jego osobą. Wyczuła to, co zeń promieniuje, zrozumiała, że ten marzyciel jest bogaty, ogromnie bogaty, posiada jedyne prawdziwe skarby — zalety umysłu i serca. Nie zna się na niczym, co ma związek z malarstwem, lecz wie, że Renoir to Renoir; jasno zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli ma dokonać wyboru, to go już dokonała.

Renoirowi posiadającemu już starokawalerskie nawyki i zazdrośnie strzegącemu swej wolności nigdy na myśl nie przyszło, by jakaś kobieta mogła z nim dzielić życie, być stale obecna przy nim, i przeraża go znaczenie, jakiego nabiera w jego myślach młoda Alina Charigot.

Alina Charigot... Czy on umie malować i rysować?... O wyborze zawodu decyduje u ludzi w mniejszym lub większym stopniu zamiłowanie osobiste, lecz jeśli nad czymś pracują bardziej niż nad czym innym, to zwykły przypadek, bo z przypadków składa się życie. Trzeba zarabiać, a gdy próżność dojdzie do głosu — błyszczeć. To w połączeniu z komedią namiętności stanowi komedię ludzką. Człowiek pokroju Renoira należy do ludzi innej kategorii. Malowanie to jego podstawowa potrzeba, konieczność życiowa, organiczna. Malowanie jest dla niego tym, czym dla jedwabnika wydzielanie przedzwy. Ponieważ musi jeść ubierać się, płacić komorne, stara się spieniężyć to, co stworzył. Lecz nigdy nie stanowi to jego celu. Mieć trochę więcej lub mniej pieniędzy nie ma w jego pojęciu żadnego znaczenia, z chwilą gdy może zaspokoić potrzebę, która kieruje każdym jego czynem. Życie malarza ześrodkowało się na przestrzeni lat wokół tej jednej potrzeby. Z przedzwy powstał kokon. W tym życiu ogołoconym i jakby ograniczającym się tylko do owej zasadniczej funkcji nie

było miejsca dla kobiety, kobiety w pojęciu duchowym, nie tylko fizycznym. Alina Charigot. Niepokój, komplikacje, jakie wniosłaby w jego spokojną egzystencję. A przecież te kochane oczy, ta buzia, to uczucie spokoju, jakiego przy niej doznaje. Ta obecność, którą odsuwa od siebie się zarazem. Podporządkowanie swojej osoby innej istocie. Obsesja ukochanej twarzy. Ta obecność, którą odsuwa od siebie. „Szelm, lepiej je już malować”.

Alina Charigot podzieliła w końcu los Renoira. W przeciwieństwie do tego, czego się obawiała, nie ciążyła mu obecność młodej kobiety. Alina potrafiła naprawdę uczynić ją lekką. Tajemnica tego leży po prostu w jej miłości — miłości prostej, prawdziwej, bez żadnych intencji ubocznych. Decydując się na życie z artystą nie uległa żadnemu złudzeniu. Nie ważne było dla niej, czy Renoir jest biedny, czy bogaty, sławny czy nieznany. Kochała go dlatego, że był Renoirem; i dlatego, że kochała tak mocno, tak spontanicznie, z całą niewinnością czystego serca, wszystko stało się proste. Nie pragnęła niczego innego, tylko być u jego boku, żyć dla niego. Oszczędzić Renoirowi wszystkiego, co mogłoby mu utrudniać pracę i poszukiwania, usuwać się lub ukazywać w odpowiednich momentach — oto rola dyskretnej, lecz opiekuńczej, którą całkiem naturalnie uznała za właściwą dla siebie. Niezwykle zrównoważona jak na dwudziestotrzyletnią dziewczynę! Wkrótce zaczęła wzbudzać szacunek. Pewnego dnia, na jakiejś wystawie Degas powiedział o tym Renoirowi. Wskazując Alinę, tak powściągliwą wśród innych kobiet, zauważył: „Ona wygląda jak królowa w gronie linoskoczków”.

Renoir sam stwierdzał wstydliwie, jak zawsze, gdy wyrażał swe uczucia: „Ona pozwala mi myśleć”.

Jego związek z Aliną nie tylko zapewnił mu spokój, którego nigdy tak bardzo nie potrzebował jak w tej chwili, kiedy zaczynał wątpić o swej sztuce, lecz również przez nią, dzięki niej wzbogacał się świat jego uczuciowych przeżyć. Życie stało się podobne do gry w „kto przegrywa — wygrywa”: darując wzbogacamy się zawsze o to, co dajemy; egoista jest nędzarzem. Egzystencja Renoira, dzielona z Aliną, bogatsza o tę wzajemną miłość, pogłębiła się o nie spotykane w niej dotychczas rezonanse.

EWA STOMAL

Na jednym z najślawniejszych swoich obrazów, artysta malarz Max Klinger przedstawił Chrystusa na Olimpie. Za jego pośrednictwem chciał zwrócić uwagę na zwycięstwo duchowej potęgi chrystianizmu nad helleńskim kultem piękna zmysłowego, starał się uwypuklić prymat duszy nad ciałem w nauce Chrystusowej.

Na ukwieconej łące — otoczonej południowymi drzewami — zgromadzili się bogowie starożytnej Grecji i antycznego Rzymu. I oto niespodziewanie ukazała się wśród nich postać Jezusa z Nazaretu, który pełen godności stanął przed gromowładnym Zeusem. Nie przyszedł o nic go prosić. Zjawił się tutaj jako zwiasztun nowej ery. Za nim postępowały niewiasty symbolizujące zasadnicze cnoty, niosące krzyż odkupienia. Ich spokój, powaga i powłóczyście szaty jakże kontrastują z ubiorem trzech bogiń: Heresy, Venus i Ateny.

Nadejście Chrystusa wywołało na Olimpie poruszenie. Zależknioty Zeus spogląda na tego, który zakłóca jego spokój. Hermes

wszystkim kobietom polskim z okazji ich dorocznego święta.

Rzadko zwracamy uwagę na fakt, że podczas publicznej działalności, oprócz apostołów, towarzyszyły Zbawicielowi niektóre niewiasty. Nie odpowiadało to zwyczajom nauczycieli Zakonu, którzy uważali, że otaczanie się kobietami nie licuje z godnością rabina. Przebywanie kobiet w najbliższym otoczeniu Jezusa było świadectwem, że inaczej oceniał On wartość kobiety. To zaś spowodowało Chrystusa do zerwania ze starymi zwyczajami, których źródłem było przecenianie mężczyzn i jednostronny sąd o kobietach. Wszyscy czterej Ewangelisci wspomniają o pewnej liczbie niewiast, które zawsze były w pobliżu Chrystusa. Świadczą o tym między innymi następujące słowa: „I stało się potem, że (Jezus) chodził po miastach i wioskach, zwiastując dobrą nowinę o Królestwie Bożym, a dwunastu z nim i kilka kobiet, które On uleczył od złych duchów i od chorób, Maria zwana Magdaleną... i Joanna, żona

rze” (J 11,5). Ale na szacunek i przyjaźń Zbawiciela, musiały one zasłużyć sobie wybitnymi swoimi cnotami.

Ewangelista Łukasz podaje krótką wzmiankę o pewnej uczennicy Chrystusa, której imię było i pozostanie nieznane. Zaś dwa przytoczone przez niego zdania (jedno zawierające słowa niewiasty, drugie zaś powtarzające wypowiedź Zbawiciela) są jakby jasnym promieniem słońca, przedzierającym się przez gęste chmury, zwiastujące zbliżające się nieszczęście. Wydarzenie to miało bowiem miejsce bezpośrednio po ataku ze strony faryzeuszów, a przed ostrą odpowiedzią Jezusa pod ich adresem. Wówczas to, pochodząca z ludu niewiasta zabrała głos w imieniu wszystkich, którzy byli przekonani o Jego boskim posłannictwie. Fakt ten przypomina Ewangelista, gdy pisze: „A gdy On to mówił, pewna niewiasta z tłumu podniosła swój głos, rzekła do Niego: Błogosławione łono, które cię nosiło, i piersi, które ssałeś. On zaś rzekł: Błogosławieni są raczej ci, którzy słuchają Słowa Bożego i strzegą go” (Łk 11,27—28). Choć była tylko słabą ko-

gi po lewicy twojej w Królestwie twoim” (Mt 20,21). Jak na matkę przystało, nie żądała niczego dla siebie. A chociaż Chrystus nie dał jej żadnej obietnicy, przecież okazał jej wiele wyrozumiałości. Obydwa przytoczone wydarzenia ewangeliczne są dobitnym świadectwem wielkiego szacunku Zbawiciela dla matek oraz jego zrozumienia dla ich troski o losy dzieci, dla ich ambicji — nawet tych wygórowanych.

Działalność publiczna Zbawiciela była wielkim pasmem cudów. Toteż, gdy Piotr chciał w krótkich słowach scharakteryzować Jego działalność, powiedział: „Chodził, czyniąc dobrze i uzdrawiająca wszystkich” (Dz 10,38). Przy okazji zauważyć wypada, że wiele cudów dokonał Jezus dla kobiet okazując swą wszechmoc wobec ich najbliższych, wielu też cudów doznały niewiasty osobiście, otrzymując ulgę w chorobach i cierpieniu. Tak było w Naim, gdzie wyrzekłszy słowa: „Młodzińcze, tobie mówię: Wstań!” (Łk 7,14), oddał matce żywego syna. Również w Kafarnaum, mówiąc: „Dziewczynko, mówię ci, wstań” (Mk 5,41) przywrócił umarłą do życia, ku radości i zdumieniu jej matki i ojca.

Wiele też niewiast — Jak już wspomniałem — osobiście doznało cudów od Chrystusa. Tak więc na początku publicznej działalności (wkrótce po wygłoszeniu kazania na górze), gdy „Jezus wszedł do domu Piotra, ujrzał teściową jego, leżącą w gorączce. I dotknął się ręki jej, i ustąpiła gorączka; ona zaś wstała i posługiwała mu” (Mt 8,14—15). Należała do nich także „niewiasta, która od dwunastu lat cierpiała na krwotok i dużo ucierpiała od lekarzy, i wydała wszystko, co miała, a nic jej nie pomogło” (Mk 5,25—26). Gdy jednak w tłumie dotknęła się szaty Jezusa, natychmiast została uzdrowiona. A przecież Ewangelisci wspomniają jeszcze o innych przypadkach uzdrowienia kobiet. Bowiem Syn Boży, który wszystkim dobrze czynił, nie mógł przejść obojętnie wobec cierpień kobiet.

Wielokrotnie też oznajmiał Jezus, że przyszedł, by ratować i zbawić grzeszników. Toteż w swoim nieskończonym miłosierdziu nie zapomniał również o niewiastach, które zeszyły z drogi wytkniętej przez Boga. Jedną z nich była Samarytanka u studni Jakubowej (por. 4, 1—12), której nie szczędzi czasu i zbawienych napomnień. Odpuszczenia grzechów dostąpiła grzesznica, która przyszedłszy do domu faryzeusza, upadła do nóg Chrystusa „i zaczęła łzami zlewać nogi jego i włosami swojej głowy wycierać, a całując jego stopy, namaszczyła je olejkami” (Łk 7,38). Nie inaczej postąpił Zbawiciel wobec niewiasty przyłapanej na cudzołóstwie (por. J 7,53—8,11).

Nie mógł zresztą Chrystus postępować względem niewiast inaczej. Bo — według nauki św. Pawła — u Boga „nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz mężczyzny ani kobiety; albowiem wy wszyscy jedno jesteście w Jezusie Chrystusie” (Gal 3,28).

Ks. JAN KUCZEK

Chrystus a kobiety



odwraca się do Niego plecami. Dionozos podaje Mu kielich wina, który Jezus stanowczo odsuwa. Jedna tylko bogini składa Zbawicielowi hold. To Psyche, przyjęta do grona nieśmiertelnych dla zaspokojenia zachcianek Amora. Chrystus przybył bowiem na Olimp, by ją uwolnić z więzów poniżenia i ratować jej godność kobiety. Upadła więc Psyche do Jego stóp i kurczowo chwyciła Go za rękę. Odczuła widocznie, że tylko przez Chrystusa stanie się nową, pełnowartościową istotą. I chyba nie ma w tym przesady. Bo — według nauki Apostoła — od chwili śmierci Zbawiciela „nikogo nie znamy według ciała... Tak więc, jeśli ktoś jest w Chrystusie, nowym jest stworzeniem” (2 Kor 5,16—17a). Słowa te odnoszą się również do kobiet.

Z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. wspominałem w latach poprzednich o wielkim poniżeniu niewiast w świecie pogdańskim oraz ich dyskryminacji w narodzie izraelskim. Obecnie chciałbym przypomnieć, jak odnosił się do nich Chrystus. Dlatego też opracowanie niniejsze — zamiast laurki — dedykuje

Chuzy, zarządcy dóbr Heroda, i Zuzanna, i wiele innych, które służyły im majątkościami swymi” (Łk 8,1—3). Były to kobiety różnego stanu, pochodzące z rozmaitych środowisk. Uboższe oddawały swą pracę i trud, zaможniejsze służyły swymi dobrami.

Nie wszystkie jednak kobiety mogły zostawić dom i porzucić codzienne obowiązki, by towarzyszyć Zbawicielowi w Jego wędrownych misyjnych. Nie wszystkim też stawał On wymagania zawarte w słowach skierowanych do młodzieńca ewangelicznego: „jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj co posiadasz i rozdaj ubogim, a... potem przyjdź i naśląduj mnie” (Mt 19,21). Ucierpiałby bowiem na tym porządek społeczny. Ale Syn Boży darzył wielkim szacunkiem i te niewiasty, które — pozostając w swoich domach — spełniały swoje codzienne szare obowiązki. Do grona niewiast, od których Chrystus nie żądał zerwania z dotychczasowym życiem, należały również dwie siostry z Betanii. Wspomina o nich Ewangelista, gdy pisze: „A Jezus miłował Martę i jej siostrę, i Łaza-

bieta, zasłużyła na tę pochwałę, gdyż — w przeciwieństwie do uczonych żydowskich — była nie tylko słuchaczką, lecz i wykonawczynią słów Zbawiciela.

Jedną z najmiłszych scen życia Jezusowego — odtwarzaną wielokrotnie przez artystów — była chwila, kiedy „mu przyniesiono dzieci aby włożył na nie ręce i modlił się; ale uczniowie gromili ich. Lecz Jezus rzekł: Zostawcie dzieci im przychodzić do mnie; albowiem do takich należy Królestwo Niebios” (Mt 19,13—14). Matki izraelskie przyniły swe dzieci — będące największym ich skarbem — w nadziei, że dotknięcie Jego rąk zapewni im błogosławieństwo i szczęście na całe życie. Innym razem przysłała do Jezusa matka synów Zebedeuszowych (Jakuba i Jana), która nie tylko oddała Mu swoich synów, ale i sama towarzyszyła Mu w Jego wędrownych misyjnych. Nie potrafiła jednak zwalczyć w sobie uczucia próżności i przesadnej troski o los swych dzieci. Zwracając się bowiem do Jezusa, rzekła „Powiedz, aby ci dwa synowie moi zasiedli jeden po prawicy a dru-

Romuald Traugutt, naczelny wódz i dyktator powstania styczniowego to jedna z licznych postaci patriotów walczących o wyzwolenie narodu i społeczne. Całe jego krótkie, ale bogate w wydarzenia życie poświęcone było służbie nieszczęśliwej ojczyzny, walce o wyzwolenie spod carskiego despotyzmu i okrutnej niewoli.

Urodzony we wsi Szostakowo w byłym powiecie Brzeskim w roku 1826 jako dziecko stracił matkę i wychowywany był przez babkę. Służbę wojskową w armii carskiej odbył jako saper w Żelechowie. W okresie „Wiosny Ludów” 1848 roku wysłany został na Węgry, a następnie do Austrii. Z chwilą wybuchu wojny z Turcją 1853 roku

wach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wiecznym. Właściciele uszkodzeni wynagrodzeni będą z ogólnych funduszy Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy wstępujący w szeregi obrońców kraju lub w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej przed wrogiem ziemi. Do broni więc, Narodzie Polski Litwy i Rusi, do broni!

Autorami „Manifestu” byli: członek Komitetu Centralnego Narodowego Jan Majkowski i jego siostra, znana patriotka i poetka Maria Ilnicka, redaktor czasopisma „Bluszcz”.

Aby stłumić wrzenie rewolucyjne w Polsce, carat zarządził „brankę”



ROMUALD TRAU GUTT A POWSTANIE STYCZNIOWE

mianowany do stopnia porucznika walczył nad Dunajem, następnie na Krymie. W walkach o Krym odznaczył się wybitnymi zdolnościami i odwagą, toteż awansowany w roku 1859 do stopnia podpułkownika przeniesiony został do ówczesnej stolicy carskiej Rosji, Petersburga jako wykładowca w wojskowej wyższej szkole technicznej. W Petersburgu spadły na niego dotkliwe ciosy: umarło mu dwoje dzieci, wkrótce ukochana żona oraz babka. Złamany tymi nieszczęściami zwolnił się ze służby w wojsku i wrócił w stopniu pułkownika w rodzinne strony do majątku Ostrów, który odziedziczył po śmierci babki. Tutaj ożenił się powtórnie z Antoniną Kościuszką, cioteczną wnuczką Naczelnika Tadeusza Kościuszki, który zawsze był dla niego wzorem patrioty.

Nadeszły smutne lata 1861—1862. W kraju zerwała się burza potężnych manifestacji patriotycznych, w Warszawie padły pierwsze trupy pięciu zabitych patriotów, ich pogrzeb przerodził się w olbrzymią manifestację. Uformowały się dwa stronnictwa „Białych” i „Czerwonych” — łączyła je wspólna wola walki ze znieprawdzonego wrogiem. Stronnictwo tzw. „Czerwonych” — którego założycielem i twórcą był Jarosław Dąbrowski, już poprzednio zesłany na Syberię — wydało w Warszawie słynny „Manifest”, w którym od dnia 22 stycznia wszyscy z zainteresowaniem czytali:

„Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku Komitet Centralny Narodowy, obecnie jedyny legalny Rząd Narodowy wzywa na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa... W zamian K.C.N. przyrzeka, że siły działalności nie będą zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmując silną dźwierzć będzie ręką. W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia K.C.N. ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, która lud rolniczy posiadał dotąd na pra-

młodzieży do wojska w liczbie ponad dwadzieścia tysięcy. Komitet Centralny wezwał wówczas do zbrojnego powstania. Wybuchło ono 22 stycznia 1863 roku w wielu częściach kraju. Powstańcy w partyzantce nie mieli jednakowych mundurów ani uzbrojenia, przeważały kosy, osadzone na sztorc pikie, i licha broń myśliwska śrutowa, rzadziej karabin zdobyty na wrogu. Szczególnie cenną bronią okazała się niezawodna zwiastka w lesie, w gąszczu, na bagnach i w gestych zabudowaniach tzw. „broń polska” tj. kosa, broń kościuszkowska od 4 kwietnia 1794 roku pod Raclawicami, broń na bliskie odległości straszniejsza od wrogich armat. Ochroną i sprzymierzeńcem powstańców stał się las, trzęsawiska i zwarto zabudowane wsie. Właśnie w takim środowisku kosynierzy odnosili zwycięstwa i tak też przedstawiają ich liczni malarze: Artur Grottger, Maksymilian Gierymski, Juliusz Maszyński, Michał Elwiro Andriolli, Jacek Malczewski, Robert Fleury, Józef Simmler i wielu, innych.

Romuald Traugutt od pierwszych dni powstania dowodził oddziałem kobryńskim i od razu odniósł kilka zwycięskich potyczek z wrogiem. Pierwszą większą bitwę stoczył Traugutt pod Horkami, była to bitwa od której tak bardzo zależał duch bojowy kosynierów oraz wodza, który zawsze na przedzie dawał dowody niezwykłego męstwa i hartu ducha. W bitwie tej padło 70 zabitych i ponad stu rannych Kozaków. O wyniku bitwy zdecydował talent dowódcy wodza. Powstańców ogarnął zapał wojny, byli pełni wiary w wodza i pełni dla niego miłości jako ofiarnego towarzysza walki. W kilka dni później przyszły nowe zwycięstwa kosynierów. Traugutt unikał otwartych bitew w dzień, nękał wroga nocami i zniżył z oddziałem w lesie Polesia.

Do powstania garnęli się coraz bardziej chłopci ujęci karnościami i nadzieją zwycięstwa, nadzieją uwłaszczenia jaką dawał im „Manifest”. Walki przenosiły się na tereny Wołynia, ogarnęły całe Polesie, Podlasie, Kielecczynę i Kurpie. Dnia 13 lipca Traugutt stoczył ostatnią bitwę pod Kołodnem z przeważającymi siłami wroga — oddział poszedł w rozsypkę, ale nie uległ. Sam Traugutt ranny i rozgorączkowany znalazł schronienie i opiekę u znanej później powieściopisarki Elizy Orzeszkowej, która go leczyła i ukrywała w Ludwinowie. Wczesną jesienią roku 1863 Eliza

Orzeszkowa wywiozła chorego Traugutta na Wołyń, stamtąd za Bug i do Krakowa. Tutaj Traugutt nawiązał kontakty z członkami Rządu Narodowego Centralnego, wyjechał do Warszawy skąd wysłany został z tajną misją do Paryża. Po wypełnieniu zadania wrócił do Warszawy i tutaj zgodnie z mianowaniem go w dniu 17 października 1863 roku przyjął powierzoną mu funkcję naczelnego wodza powstania i dyktatora z władzą nieograniczoną w zakresie działalności zbrojnej. Nikt jednak był wówczas nadzieje na zwycięstwo i Traugutt dobrze zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji dalszych walk zbrojnych. Liczył jednak na szybką pomoc Francji i Belgii w zakresie finansowej, a zwłaszcza w dostawach broni i amunicji, której brak dotkliwie dawał się odczuwać z każdym dniem. Mimo to naczelny Wódz powziął bardzo trudną decyzję: walczyć do końca aż do zwycięstwa, ratować Honor Ojczyzny.

Kwatera Wodza, który przybrał pseudonim Michał Czarnecki, znajdowała się w Warszawie przy ulicy Smolnej. Coraz bliżej jego osoby odbywały się aresztowania. Dnia 11 kwietnia 1864 roku o północy Traugutt został aresztowany wraz ze swoim serdecznym przyjacielem i współpracownikiem, nauczycielem Marianem Dubieckim i osadzony na Pawiaku w celi nr 56. Już 12 kwietnia rozpoczęły się okrutne badania. Romuald Traugutt wykazał niezwykle hart ducha, złożył bardzo krótkie oświadczenie treści następującej: „Nazywam się Romuald Traugutt, a nie Michał Czarnecki, lat mam 38, katolik, żonaty z Antoniną Kościuszką. Rodem jestem ze wsi Szostakowo na Litwie w powiecie brzeskim z ojca Ludwika i Alojzy z Błockich małżonków Trauguttów już nie żyjących”. A więc w śledztwie zeznawał Traugutt tylko to, co dotyczyło jego osoby — nic więcej.

Rząd Narodowy z Trauguttem na czele wypełniał wszystkie funkcje rządu, z tym, że działał konspiracyjnie. Rząd wydawał liczne pisma, („Niepodległość”, „Dziennik Narodowy”, „Głos z

Litwy”, „Ruch”, „Hutorka”, „Polska”, „Powstaniec”, „Nowiny”, „Ojczyzna” i inne), podając w nich wiadomości z sytuacji powstania. Po 17 października 1863 roku, tj. po objęciu dyktatury, Traugutt uporządkował wiele spraw: przede wszystkim domagał się bezwzględnego przestrzegania „Manifestu”, nalegał na wykonanie dekretu uwłaszczeniowego chcąc zjednać chłopów, ważnego sprzymierzeńca w walce wyzwoleniczej i społecznej, którzy wtenczas stanowili ponad 80% narodu. Zabiegał o zdobycie w Paryżu pożyczki, którą przeznaczyć pragnął na potrzeby wojska regularnego, uzbrojonego w dobrą broń palną, zalecał surową dyscyplinę i karność jako podstawę wszelkich poczynań wojennych, zorganizował bardzo sprawną pocztę powstańczą — łączność uważał za jedną z najważniejszych cech nowoczesnego wojska w czasie działań wojennych. Niestety, tego wszystkiego brakowało, aż zabrakło... samego Wodza.

Sąd wojenny po czterech miesiącach tortur skazał Traugutta wraz z czterema członkami Rządu Narodowego na karę śmierci. Wyrok na stokach Cytadeli Warszawskiej wykonano dnia 5 sierpnia. Na oczach wielu tysięcy warszawiaków powieszni zostali: Romuald Traugutt, Rafał Krajewski, Józef Toczyński, Roman Żuliński i Jan Jeziorański. Nad Warszawą zawisły czarne chmury żałoby — dopiero teraz rozpoczął się terror, aresztowania, procesy, więzienia, tortury, wyroki śmierci i ... zsyłki na Sybir.

ANTONI KACZMAREK



Młoda kobieta, ubrana skromnie, lecz niezwykle dystyngowanie, usiłuje przedrzeć się przez tłum. Jaki zgromadził się po obu stronach głównego traktu wiodącego do Warszawy przez małe miasteczko Błonie. Damie tej towarzyszy wierna przyjaciółka, która teraz chroni ją przed naporem tłumy zaafektowanego pojawieniem się powozu cesarskiego i towarzyszącego mu wojska. Obie przybyły tu spod Łowicza, z majątku zwanego Walewicami, tylko po to, by ujrzeć jego — cesarza Napoleona, zbawcę Ojczyzny. Powóz zatrzymuje się, gdyż woźnica musi zwinąć konie. Jadą bowiem z daleka — spod Pułtuska i Gołymina. Rozentuzjowany tłum wznosi okrzyki na cześć francuskiego wodza i wyzwoliciela, ale on sam nie wysiada z powozu. Natomiast na stopniach karety pojawia się zaufany cesarza — generał Duroc. Przez chwilę przygląda się zgromadzonym ludziom i uwagę jego zwraca młoda pani, która mówi doń błagalnie po francusku: „O panie, wyrwij nas stąd i uczyni coś, abym mogła go zobaczyć na jedną jedyną chwilę!” Duroc jednym spojrzeniem ocenia nieznaną, uznając że jest to niewątpliwie dama z towarzystwa i w dodatku wyjątkowo piękna. Elegancki generał z miejsca ofiarowuje swe ramię pięknej nieznanym i prowadzi ją do drzwiczek powozu. „Najjaśniejszy Panie — mówi do Napoleona — popatrz na tę, która dla ciebie wystawiła się na niebezpieczeństwo zgniecenia w tłumie”. Napoleon wita ją pochyleniem głowy i przygląda się z zainteresowaniem swej wielbicielce. Jest ona niezbyt wysoka, lecz bardzo zgrabna, o uroczo zaokrąglonych kształtach. Misternie spięte ciemno blond włosy przystroiła ażurowym kapeluszem z czarnym welonem. I te oczy! Olbrzymie oczy, łagodne i jednocześnie naiwne, spoglądają nań w niemal świętym uniesieniu. Delikatna skóra, mocno zaróżowiona pod wpływem chwili, cieszy świeżością róży herbacianej. Powitanie kobiety brzmi jak modlitwa: „Witaj, witaj, gościu tysiącrotnie błogosławiony na naszej ziemi! Nic z tego, co zrobimy, nie odda w sposób wystarczający uczuć jakie mamy dla Twojej osoby, ani radości, którą odczuwamy, widząc Cię wkraczającego do tej Ojczyzny, która czeka na Ciebie, by podnieść się z upadku!”

Młoda dama nie słyszy, że Napoleon coś mówi do niej, nie zauważa, że przerywa cesarzowi. Głosi swój hymn pochwalny jakby w ekstazie, z głębi duszy, wzięty prosto z serca. Mówi to co czuje, co dyktuje jej mocno bijące w piersi serce, z głębokim przekonaniem i wiarą, że zwraca się do tego, który zbawił jej Ojczyznę i przwróci Polsce niepodległość. Wychowana w atmosferze gorących patriotycznych uczuć wierzy, że cesarz nie zawiedzie Polaków, nie zawiedzie i jej — Marii, młodziutkiej żony szambelana Anastazego Colonna-Walewskiego.

Cesarza niewątpliwie cieszy tak żarliwe wyznanie polskiej damy, co podbudowuje jego miłość własną, widzi w niej jednak przede wszystkim jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkał dotąd w swym życiu. Mimo że była to zima, miał w swym powozie bukiet kwiatów. Wreczył go więc nieznanym, mówiąc: niech go pani zachowa jako pamiątkę moich dobrych zamiarów. Spodziewam się, że zobaczymy się znów w Warszawie, gdzie poproszę o podziękę z pani ust!”

Po tych słowach cesarski powóz rusza. Maria ukrywa twarz w kwiatach i spogląda ze smutkiem na oddalający się coraz bardziej pojazd. Przez moment widzi jeszcze, że Napoleon śle jej pożegnanie powiewając kapeluszem.

Ta niezwykle romantyczna scena miała miejsce w Nowy Rok 1807. Doszło wtedy po raz pierwszy do spotkania cesarza Francuzów z piękną Polką — Marią Walewską, która towarzyszyć mu będzie prawie do ostatniej chwili życia.

Maria przyszła na świat 7 grudnia 1786 r. w Brodnej pod Kiernozią (w pobliżu Łowicza), jako najstarsza z córek państwa Łączyńskich. Ojciec jej — pan Maciej Łączyński herbu Nałęcz — był dziedzicem Kiernozi i starostą gostyńskim. Matką zaś była Ewa z Zaborowskich Łączyńska. Marię otaczała dość liczna gromadka rodzeństwa, a więc starsi bracia: Benedykt, Hieronim i Teodor oraz młodsze siostry: Honorata, Katarzyna i Urszula. Bardzo wczesnie wydano ją za mąż za bogatego szambelana Walewskiego, liczącego sobie wówczas



Maria i NAPOLEON



Syn Marii i Napoleona — Aleksander Walewski

Portret Marii Walewskiej, pędzla Gerarda, który wisił niegdyś w sali bibliotecznego zamku La Branchoire

67 lat. Panna młoda zaś skończyła dopiero 17 wiosen.

Maria Walewska odznaczała się szczególnie wdzięczną urodą. Anetka z Tyszkiewiczów Potocka (słynna piękność z Zamku Warszawskiego, bardzo zresztą Marii nieprzychylna) tak o niej pisała: „Prześliczna, wcielała typ urody z obrazów Greuze'a. Miała cudowne oczy, spojrzenie tak łagodne, twarz tworzyła całość tak ponętą, że braki, które nie pozwalały uznać jej rysów za klasyczne, uchodziły uwagi”. Hrabia Fryderyk Skarbek, który często bywał w Kiernozi, określał ją, jako „rzadką piękność” i „niewymowny powab wdzięków”. Constant, kamerdyner Napoleona, zachwycił się jej „świąteczną edukacją”.

Niedługo po pamiętnym spotkaniu w Błoni, w czasie historycznego karnawału warszawskiego z udziałem cesarza Napoleona, odbyła się uroczysta prezentacja dam z towarzystwa. Tam, już oficjalnie, przedstawił cesarzowi panią Walewską. W dziesięć dni później, na balu, jaki odbył się w kamienicy Tepperów przy ulicy Miodowej, wszyscy obecni zauważyli wielkie zainteresowanie cesarza młodą szambelanową. Po prostu, potężny cesarz Francuzów stracił głowę i serce dla ślicznej Polki.

Ufając w siłę uczucia Napoleona, Maria Walewska powierzyła mu swój los. Kobieta ta zafascynowała wielkiego woźcę nie tylko swoją powierzchownością, lecz również — a może jeszcze bardziej — swymi zaletami wewnętrznymi: uczuciowością, bezinteresownością i szlachetnością. Maria nie chciała klejnotów ani złota — „chciała tylko Polski”.

Z małżeństwa z szambelanem Walewskim Maria miała syna — Antoniego, urodzonego w r. 1805. W roku 1810 przeprowadziła rozwód z mężem i przeniosła się do Paryża. W tymże roku przyszedł na świat drugi syn Marii — Aleksander, syn cesarza Napoleona. Niestety, cesarz — mając na uwadze własną karierę i możliwość skolidowania się z potężniejszym państwem (Polska się tu nie liczyła) — nie ożenił się ze swą miłą. Pragnął jednak wynagrodzić jej nie spełnione nadzieje uczuciowo-matrymonialne, urządzając ją w Paryżu iście po cesarsku i powierzając zaufanym ludziom pieczę nad jej zdrowiem. Zatrządził się także o los swego syna, nadając Aleksandrowi Walewskiemu dobra położone w Królestwie Neapolu oraz tytuł hrabiego Cesarstwa.

Zawiedziona w swych nadziejach na małżeństwo Maria wróciła do Polski i pozostała tu aż do tragicznego zakończenia wyprawy moskiewskiej.

W pierwszym dniu stycznia 1813 r. pani Walewska wraz z dziećmi powróciła ponownie do Paryża, aby tam (choć z daleka) widywać Napoleona. Na balach prezentowała się zwykle „po polsku”, tzn. w aksamitnej sukni amarantowej i białym toczku z frędzlami.

Nadszedł rok 1814. Napoleon uwięziony został na Elbie. I tutaj pospieszyła do niego wierna Maria, by wraz z synem odwiedzić eks-cesarza. Po dwóch dniach musiała jednak odjechać do Neapolu. W czerwcu 1815 r., po ucieczce Napoleona z Elby, Maria po raz ostatni spotkała się ze swym cesarzem. Wróciła już z Elby z pełną świadomością, że ich związek skończył się ostatecznie. Depresja, przebyte wzruszenia spowodowały nagłe osłabienie sił fizycznych i Maria ciężko zachorowała.

W tych niezwykle trudnych chwilach przyszedł Marii z nieocenioną pomocą hrabia August d'Ornano. Z uwagi na swą bardzo skomplikowaną sytuację osobistą i pozycję w życiu towarzyskim oraz rodzinnym, nie mogąc pogodzić się ze smutnym losem, jaki dotknął ją ze strony ukochanego przez tyle lat człowieka, Maria Walewska decyduje się wyjść za mąż za hrabiego Augusta d'Ornano. Mąż otoczył ją nadzwyczaj troskliwą opieką, miłością i czułością. Dopiero teraz znalazła ukojenie nadszarpniętych sił i nerwów. Niestety, trochę za późno. Zmarła po roku małżeństwa, zostawiając rozpaczającego męża z maleńkim synkiem Rudolfem. Śmierć zabrała ją w pełnym rozkwicie młodości miała bowiem dopiero 31 lat. Syn Marii i Napoleona, Aleksander Walewski, tak wspomina w swym pamiętniku: „Cały dom pograżył się w strasznej rozpacz, a héliu generała Ornano nie potrafił opisać. Zaiste bowiem była matka moja jedną z najlepszych kobiet, jakie w ogóle istniały na świecie”.

Do dziś Maria Walewska należy do najbarwniejszych i najbardziej ciekawych postaci kobiecych w naszej historii.

MALGORZATA KAPIŃSKA

— dzieciom

Mała Kobietka



Ciekawa jestem czy wiecie, jak to trudno być kobietą?! Co prawda, mam dopiero osiem lat, więc do „prawdziwej” kobiety jeszcze mi daleko, ale teraz jestem za to „małą kobietką”. Tak właśnie mówią o mnie moi rodzice, mama i tata — a przecież oni nigdy nie kłamią, i zawsze wiedzą, co mówią. Jestem więc tą „małą kobietką”, a z tego wynika dla mnie cały szereg przeróżnych, skomplikowanych nieraz, sytuacji. Zaraz Wam o nich trochę opowiem.

Nasz dom — to niewielkie, dwupokojowe mieszkanko w jednym z ogromnych wieżowców nowego osiedla. Mówię „niewielkie” — ale ile jest w nim do zrobienia, i to codziennie! Sprzątnąć dwa pokoiki, odkurzyć dywan, przetrzeć kurze ściereczką, podlać kwiatki stojące na oknie — to wszystko już od prawie roku należy do moich codziennych obowiązków. Teraz doszłam już do wprawy w tym „obrzędzaniu” domu, nie zajmuje mi ono więcej niż godzinę, ale na początku — aż szkoda mówić! Gdyby ktoś mógł sfilmować moje nieporadne poczynania tego pierwszego dnia, to chyba powstałaby jedna z lepszych komedii, takich z gatunku filmów Charlie Chaplina... Pamiętam doskonale, jak do tych „początków” doszło. Posłuchajcie...

Było to około roku temu, zbliżało się właśnie Święto Kobiet, a mamusia — jakby nigdy nic — codziennie robiła wciąż to samo. Najpierw — szycie mi do szkoły śniadania, później — zakupy przed pracą, paca, znów drobne zakupy, gotowanie, sprzątanie, pranie i temu podobne rzeczy, aż do samego wieczora. Rezultat tego był taki, że często mama zasypiała przed telewizorem, choć bardzo lubi oglądać wieczorne programy. Tata kilka razy próbował jej w czymś pomóc, ale za każdym razem zostawał delikatnie przez mamę „spławiany” — że nie zrobi tego tak porządnie, jak ona, żeby się nie wtrącał do

„kobięcych” zajęć, bo się na nich nie zna, i tak dalej. Za każdym razem mama podkreślała, że doskonale sobie daje radę ze wszystkim i żeby się niczym nie przejmował. Tatę jednak na ogół niefatwo jest zbyć byle czym, obserwował mamę bacznie, i długo nad czymś myślał. Któregoś dnia, w przeddzień Święta Kobiet, gdy mama zasnęła przy telewizyjnym Kurierze Warszawskim, wywołał mnie po cichu do kuchni.

— Wiesz, Renatko — zaczął niepewnie, wciąż zerkając na śpiącą w fotelu mamę — myślę, że mogłabyś mamie trochę pomóc w domu. Jesteś przecież już „małą kobietką”, a to do czegoś zobowiązuje, prawda? Nikt, tak jak mama i ty, nie zna się na prawdziwie kobiecej pracy...

Tata wycofał się szybko do swego ulubionego kącika, gdzie zwykł czytać gazety i ćmić fajeczkę, a ja zostałam sama w kuchni. Sama — ze swoimi myślami i tym, co usłyszałam od taty. Ze stołka, na którym siedziałam, mogłam idealnie widzieć twarz śpiącej mamy. Patrząc tak na nią, i nagle złapałam się na tym, że nigdy dotąd sama nie zaferowałam Jej swej pomocy, uważałam, że ja — nic nie muszę. Wszystko miałam podane „pod nos”, gotowe... Nawet łóżka często po sobie nie zaścielałam, bo po prostu mi się nie chciało. Wiedziałam, że kiedy przyjdę ze szkoły, będzie sprząnięte, obiad przyszykowany, tylko podgrzać, w pokojkach będzie lśniło od czystości — na wypadek niespodziewanych gości, mnie wystarczyło tylko czekać na Jej powrót z pracy. Zawstydziałam się okropnie. Jakaż ja byłam niedobra i niewdzięczna! Przecież inne znajome dzieci od dawna już pomagały swoim mamom, a ja?! To musi się zmienić! — postanowiłam natychmiast.

Następnego dnia, jak tylko wróciłam ze szkoły, wzięłam się ostro za porządkowanie. Wyciągnęłam

ze schowka odkurzacza, złożyłam, włączyłam go, a on — zamiast odkurzyć, czyli wciągnąć do siebie te wszystkie drobne śmieciuszki, ten stwór plunął na nasz dywan jakimś kłębem kurzu, śmieci i czegoś tam jeszcze.

Zanim zdążyłam go wyłączyć, dywan był porządnie i dokładnie zaśmiecony... Nie wiedząc, co się stało, złożyłam go z powrotem i schowałam, łapiąc się za szczotkę. Myślałam, że szczotką zamiast te nieszczęsne śmieci, skoro odkurzacza się zbuntował. Oczywiście, wreszcie jako tako udało się doprowadzić pokój do względnej czystości, ale co się przy tym napociłam!

Ze ścieraniem kurzu też się nieźle wygłupiłam. Nie robiąc w domu nic do tej pory, nie za bardzo dobrze wiedziałam, jaką szmatką należy ścierać kurze. Wzięłam więc ze zlewu tę ściereczkę do zmywania naczyń i nią — dalej machać po regałach, biurku taty i reszcie sprzętów. Wytarłam wszystko, jak umiałam najlepiej, a tu — zamiast pięknego połysku — jakieś rozmazane, tłuste plamy się pokazują, o zgrozo! Myślałam, że się rozplącę. Siadłam na fotelu i chyba się jednak rozryczałam, bo gdy przyszła wkrótce mama, pierwsze, co mi podała, to chustkę do nosa. I zaraz po normalnym „dzieńdobry, co słyhać” — uśmiechnęła się niewyraźnie i powiedziała:

— Widzę, maleńka, że zaczynasz mi szybko dorastać. Robisz się już małą prawdziwą kobietką, skoro bierzesz się za domowe porządki...

Za chwilę też wkroczyła do pokoju z czystą, suchą ściereczką i odkurzaczem, który pod dotknięciem jej ręki uspokoił się i normalnie zaczął odkurzać. Chodziłam z mamą krok w krok, patrząc na wszystko, co robi. Chciałam wiedzieć, dlaczego mamie wszystko się udaje, a mnie — nie. Szybko też nabrałam przekonania, że widocznie tak jest, że gdy

robi się coś z sercem — od razu się lepiej udaje.

W idealnej zgodzie skończyłam razem z mamą porządkowanie. Nasze mieszkanko znów zrobiło się przytulne i lśniące, a ja — pomimo zmęczenia — czułam się doskonale. Przy wspianym obiedzie, do którego tata włożył śnieżnobiałą koszulę, żeby podkreślić ważność tego zwykłego, bądź co bądź, posiłku — obwieściłam obojgu swoje mocne postanowienie:

— Od dziś ja będę sprzątała mieszkanie, będę też pomagać mamie we wszystkich domowych pracach!

Widocznie zaskoczyłam ich swoją decyzją, ale wcale nie dali tego poznać po sobie. Tata uśmiechnął się z pobłażaniem, a mama skwitowała to krótkim:

— Najwyższy czas!

Wiedziałam jednak (to się wyczuwa!), że byli ze mnie dumni i zadowoleni. Nie chciałam nigdy zawieść ich zaufania, więc przez ten ostatni rok napracowałam się porządnie. Nie raz, i nie dwa zamiast szaleć po podwórku z koleżankom, biegłam po zakupy, wystawałam w kolejkach. Sprzątam teraz jak zawodowa sprzątaczką, a co najważniejsze — polubiłam tę codzienną krzątaninę po domu, z przewiazanym, kolorowym fartuszkami i ściereczką w ręce. A dziś — to, co mnie spotkało — wynagrodziło całą moją „kobieca”, rocną pracę. Pytacie, co się stało? Nic takiego, tylko tata, który wrócił do domu z pracy, przyniósł nie jedną, lecz dwie przepiękne róże. Ta druga — była dla mnie! Gdy tylko tatuś złożył mamie życzenia i wręczył jej ten śliczny kwiat, uśmiechnął się łobuzersko, rozwinął drugi paperek i — wyciągając z niego pasową różę, rzekł:

— A to dla ciebie, mała kobietko, w dniu twego święta!

Tak więc życie kobiety bywa nie tylko trudne, ale i piękne, prawda?

ELŻBIETA LORENC

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

Uczucia i uzdolnienia

Istnieją trzy grupy wrodzonych czynników, wpływających na charakter człowieka. Stanowią je: uczucia, popędy i temperament. Pomijamy w tym wyliczeniu bardzo istotne, widoczne na pierwszy rzut oka, cechy morfologiczne ciała ludzkiego i cechy zdrowotne, którymi zajmuje się medycyna.

Dziś omówimy grupę pierwszą, najbardziej związaną z duchową naturą człowieka. Grupę tę stanowią uczucia i spokrewnione z nimi uzdolnienia, jako załączki zainteresowań technicznych, artystycznych itp. Rzeczą udowodnioną jest, że każde działanie ludzkie wyciska piętno na naturze człowieka. Jesteśmy jak gąbka, nasiąkająca dosłownie wszystkim z tą różnicą, że gąbkę da się wycisnąć i wysuszyć, a natura ludzka pozostawi w sobie na trwałe przynajmniej drobniutki ślad tego czym nasiąkla i to nie tylko dla siebie, ale również dla przyszłych pokoleń! Kształtując siebie, wykuwamy zarazem zręby charakterów naszych dzieci, wnuków i prawnuków, a sami nosimy dane nam

przez ojców predyspozycje wzruszeń, zdolności i wiele innych zadatków dobrych i złych. Jeśli będziemy mówić tutaj o uczuciach w subtelnej, czyli duchowej formie, czy też o wzruszeniach zmysłowych, a więc mniej subtelnych — to w jednym i drugim wypadku czynimy sztuczne rozdzielanie, nie ma bowiem czysto duchowych wzruszeń w człowieku, które nie odbiłyby się w ludzkim ciele, ani czysto zmysłowych odczuć, które nie wpłynęłyby na ducha. Człowiek bowiem stanowi nierozdzielny duchowo-zmysłową całość. Przez jakiś czas zapominano o tym w nauce Kościoła i usiłowano podkreślać jedynie ducha. Jeszcze większe spustoszenie czyni w naszej naturze podkreślanie samego ciała. Człowiek nie jest ani aniołem, ani zwierzęciem, dlatego nie można od niego wymagać by postępował wyłącznie jak istota duchowa, ani też nie można go dździć się na to, by wszystkie jego zachowania wywodzone z natury zwierząt. Może ten wstęp trochę za długi i nużący, ale konieczny, byśmy dokonując próby popatrzenia w swoje wnętrze, nie szukali oddzielnie rozumu i woli, a w innym miejscu ułożonych w takim porządku uczuć, jak to ja, w oparciu o Świętego Tomasza z Akwinu, czynię niżej.

Najogólniej uczuciem możemy nazwać wrodzoną reakcję organizmu człowieka na dobro lub zło. Reakcje te u każdego człowieka są inne, choć objawy zewnętrzne mogą być takie same jak: rumieniec, bladeść, drżenie ciała, czy nawet omdlenie. Uczucia mogą paraliżować umysł i wolę, mogą też pobudzać je do działania. Uczucia, jako wrażenia, a raczej wzruszenia zmysło-

we (nie mylić z popędami i namiętnościami!), układa święty Tomasz w pary, zamykające przeciwieństwa. Poznajmy te pary: miłość-nienawiść, pragnienie i wstręt, radość i smutek, nadzieja i rozpacz, odwaga i strach, a drabinę zamyka gniew. Klasyfikacja ta stanowi skalę trudności w uzyskiwaniu dobra lub uniknięcia zła. Teraz po jednym zdaniu o każdym z uczuć. Szerzej omówimy je w etyce szczegółowej.

Pragnienie jest chęcią posiadania dobra.

Wstręt — to chęć uniknięcia czegoś, co stanowi zło.

Radość budzi posiadanie dobra, a **smutek** rodzi się pod wpływem kontaktu ze złem.

Nadzieja rodzi się, gdy zyskujemy przekonanie o możliwości pokonania barier odgradzających nas od dobra, **rozpacz**, gdy te bariery wydają się nie do przebycia, a zło szczególnie przygniatające.

Odwaga rośnie pod wpływem nadziei, **strach** pod wpływem zagrożającego zła.

Gniew — najczęściej bezsilny — to gwałtowna reakcja na zło.

Miłość — to zainteresowanie i upodobanie w dobru bez względu na to, czy jest ono naszą własnością, czy też nie.

Nienawiść — to wzruszenie rodzące się pod wpływem zła, choćby nawet nam nie zagrażało.

Wyżej wspomniane uczucia mogą wystąpić u człowieka w szczególnie ostrej formie i wówczas noszą miano afektów. Afekt to uczucie bardzo silne, które może całkowicie wyłączyć wolę i rozum. Człowiek działający w afekcie wszystko podporządkowuje bezwiednie temu uczuciu. Na przykład opanowanego nagłym afektem gniewu człowieka nie można niczym powstrzymać od szybkiego działania. W normalnym gniewie nie tracimy panowania nad sobą.

Przy podejmowaniu pracy nad charakterem, uczucia mogą być bardzo przydatne. Wystrzegać się natomiast trzeba tego wszystkiego, co może wzbudzać drżemiące w nas afekty, zwłaszcza groźne dla nas samych i dla otoczenia. W afekcie człowiek działa jak szalony.

TERMINARZ

nabożeństw Kościoła Polskokatolickiego
transmitowanych przez Polskie Radio w programie II
— w roku 1983

6 marca — godz. 18.00 program II

12 maja (Wniebowstąpienie) — godz. 18.00 program II

17 lipca — godz. 18.00 program II

4 grudnia — godz. 18.00 program II

O STAROŚCI

Starość to jeden z etapów ludzkiego życia. Ani specjalnie gorszy, ani lepszy niż inne. Czasem spokojny, pogodny, czasem trudny i przykry. Różnie się różnym ludziom starość układa, jak i różne jest poszczególnych ludzi całe życie. Nie ma takich samych losów.

W miarę rozwoju nauk medycznych, poprawy warunków higienicznych i lepszej opieki społecznej, rośnie liczba ludzi długo żyjących. Mówimy o starzeniu się całych narodów.

Często powtarza się motto geriatry, że długowieczność to nie tylko sprawa dodawania człowiekowi lat życia, to także, a może przede wszystkim, problem zachowania jego zdrowia fizycznego i psychicznego.

Medycyna, a szczególnie geriatryka, zajmuje się zdrowiem starszych ludzi. A dla ochrony zdrowia psychicznego, do zachowania energii niezbędnej do aktywnego — na miarę lat — uczestniczenia w życiu nie ma nic skuteczniejszego jak pozostawanie we własnym domu, w pobliżu swych bliskich, życzliwość, opieka, szacunek i serdeczność otoczenia.

Coraz więcej ludzi dożywa sędziwego wieku. Sprawy ich codziennego bytowania, warunków życia, zdrowia i odpoczynku — są dziś sprawami nieomal każdej rodziny i to nie tylko w Polsce. Jest to więc problem społeczny i ogólnoludzki.

Biologia i medycyna szukają odpowiedzi na pytanie, co to jest starość? jak przedłużyć życie ludzkie? jak zachować siły i zdrowie do najpóźniejszego wieku?; jak leczyć choroby starości? Na wiele z tych pytań nie ma odpowiedzi jednoznacznej. Wiele problemów wymaga dalszych obserwacji, badań i doświadczeń.

Ekonomia też zajmuje się starym człowiekiem, analizuje jego miejsce w ogólnej strukturze ekonomiczno-społecznej kraju, w bilansie „ma i winien”.

Socjologia i psychologia badają problemy starego człowieka w rodzinie, środowisku, w społeczeństwie, wzajemne stosunki między pokoleniami.

Problemy te, zarówno w teoriach naukowych, jak i w praktyce codziennej nie są proste i łatwe. Szczególnie, że każdy dzień często wymaga od nas po-



dejmowania decyzji w wielu sprawach wobec bliskich nam starszych ludzi. Oczywiście bez udziału medycyny, socjologii i ekonomii nie da się rozwiązać wielu spraw starych ludzi. Bezsporna też wydaje się prawda, że równorzędnym partnerem w rozwiązywaniu tych problemów musi być moralność, zasady etyczne regulujące układy międzyludzkie.

Czy w tym względzie nie mamy sobie nic do zarzucenia? My — to znaczy każdy z nas oddzielnie i jako społeczność? Własne obserwacje i doświadczenia dostarczają aż nazbyt wielu sygnałów niewłaściwego stosunku do ludzi starych. Często słyszy się narzekania na trudności we

współżyciu ze starymi ludźmi. Ich poglądy na wiele spraw, despotyzm, wtrącanie się w sprawy rodzin swych dzieci, egoizm, „nudziarstwo” często powodują wręcz dramatyczne konflikty w rodzinie. I o ile bezradność, grymasy i kaprysy dziecka jakoś łatwo znajdują wyrozumiałość u ludzi dorosłych, o tyle niedoświadczenie, zgorzkniały charakter, marudzenie ludzi starych, nie napotyka na pobłażliwość, a jakże często niestety traktowane jest brutalnie i okrutnie. Równie często, jak narzekanie na współżycie ze starymi, słyszy się także od ludzi w podeszłym wieku równie uzasadnione skargi i pretensje: brak szacunku, lekceważenie, obarczanie ich całym ciężarem wychowywania wnuków,



Rozmowy z Czytelnikami

Niezależnie od przekonań religijnych, coraz częściej interesują się dziś ludzie zasadami i działalnością innych wyznań. Jest to dowodem postępującej w naszym społeczeństwie tolerancji dla ludzi o odmiennych przekonaniach religijnych oraz dalszym krokiem ku szeroko pojętej współpracy ekumenicznej. Świadczy o tym również list, w którym p. Krzysztof Sz. ze Stargardu Szczecińskiego pisze:

„Zwracam się do Redakcji z uprzejmą prośbą o informację, gdzie mieszczą się centralne władze działających w Polsce Kościołów i związków wyznaniowych. Zaznaczam równocześnie, że posiadam już adresy: Starokatolickiego i Katolickiego Kościoła Mariawitów, Kościoła Adventystów Dnia Siódmego, Polskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów, Kościoła Metodystycznego i Świadków Jehowy. Gdyby to było możliwe, proszę także o wiadomość, jakie czasopisma wydają poszczególne Kościoły i organizacje wyznaniowe. Umożliwi mi to prenumeratę tych cza-

sopism oraz pogłębienie mojej wiedzy dotyczącej zasad i działalności poszczególnych wyznań w naszym kraju.”

Szanowny Panie Krzysztofie! Na wstępie chciałbym Panu i wszystkim Czytelnikom raz jeszcze przypomnieć, że — z uwagi na szczupłość personelu redakcyjnego — listownie odpowiem nie udzielamy.

Czyniąc zadość przekazanej prośbie, komunikuję niniejszym, że:

— Władze zwierzchnie Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego znajdują się w Warszawie, Al. Świerczewskiego 52. Oficjalnymi czasopismami tego Kościoła są: „Cerkowny Wiestnik” (zawierający artykuły z zakresu teologii, liturgii i historii prawosławia, prowadzi nadto kronikę życia religijnego oraz podaje nuty i teksty liturgiczne) oraz „Wiadomości Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego”;

— Centralne władze Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (luteranckiego) mieszczą się również w Warszawie, ul. Miodowa 21. Organem urzędowym tego Kościoła jest dwutygodnik „Zwiastun”.

— Prezydium Rady Synodalnej Kościoła Polskokatolickiego (będące najwyższą władzą wykonawczą naszego Kościoła) urządzone w Warszawie, ul. Wilcza 31. Działalnością edytorską zajmują się jednak Zakład Wydawniczy „Odrodzenie” — Warszawa, ul. Kredytowa 4. Wydaje on Tygodnik Katolicki „Rodzina” (miesięc on na swoich łamach nie tylko materiały z różnych dziedzin teologii, historii Kościoła, ruchu ekumenicznego, dotyczące historii i kultury narodowej, kącik dla dzieci oraz wiele pra-

ktycznych porad), kwartalnik teologiczno-filozoficzny „Posłannictwo”, corocznie „Kalendarz katolicki” oraz różne wydawnictwa nieperiodyczne. Dwa pierwsze czasopisma zaprenumerować można na pocztę lub u listonosza. Wszystkie inne pozycje wydawnicze bezpośrednio w wydawnictwie;

— Kościół Ewangelicko-Reformowany (kalwiński) ma swą siedzibę w Warszawie, ul. Świerczewskiego 76 a. Wydaje on miesięcznik „Jednota”, poświęcony sprawom tego Kościoła oraz Eklezjologii;

— Zjednoczony Kościół Ewangeliczny (tworzą go wyznawcy, którzy w okresie międzywojennym skupiali się w związkach wyznaniowych: Ewangelicznych Chrześcijan, Wolnych Chrześcijan, Stanowczych Chrześcijan, Kościoła Wiary Ewangelicznej oraz Kościoła Chrystusowego) ma swą siedzibę w Warszawie, ul. Zagórna 10. Wydaje on miesięcznik „Chrześcijanin”;

Oprócz wymienionych wyżej Kościołów działają również w Polsce różne związki wyznaniowe, z których wymienię tylko najbardziej znane. Należą do nich między innymi:

- Świecki Ruch Misyjny „Epifania” — Poznań, ul. Niedziańska 4;
- Stolica Apostolska w Jezusie Chrystusie — Chorzów, ul. Styczyńskiego 18/9;
- Kościół Chrześcijan Dnia Sobotniego — Chorzów, ul. Leśna 18/8
- Zrzeszenie Wolnych Badaczy Pisma Świętego — Kraków, ul. Filipa 13/18 a;
- Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego — Warszawa, ul. Krajowej Rady Narodowej 6;

— Muzułmański Związek Wyznaniowy — Warszawa, ul. Nowotki 21b/5;

— Jednota Braci Polskich — Kraków, ul. Grodzka 62/7.

Powyższe informacje przytoczam według danych z roku 1971. Nie mogę więc gwarantować, czy podane adresy związków wyznaniowych są jeszcze w tej chwili aktualne. Nie jestem też w stanie poinformować Pana, które z nich prowadzą działalność wydawniczą.

Natomiast p. Zofia U. z Wrocławia pisze: „Jestem stałą czytelniczką „Rodziny”. Czytam również „Za i przeciw”, w którym to czasopiśmie bardzo mi się podoba rubryka „Pomagamy sobie wzajemnie — SOS”. Uważam, że byłoby rzeczą bardzo pożyteczną wprowadzenie takiej rubryki również w Waszym tygodniku, szczególnie w obecnych ciężkich czasach, kiedy tyle rodzin znajduje się w trudnych warunkach materialnych”.

Szanowna Pani! Przyznaję Pani rację, że wiele rodzin w Polsce znajduje się w trudnej sytuacji materialnej. Jednak w tygodniku „Rodzina” nie prowadzimy rubryki „SOS”, zaś plany redakcyjne — przynajmniej w najbliższej przyszłości — nie przewidują jej wprowadzenia. Wszystkie bowiem nasze parafie prowadzą działalność charytatywną we własnym zakresie. Ponadto działalność taką prowadzą również Wydziały Zdrowia i Opieki Społecznej terenowych ogniw administracji państwowej, Polski Komitet Pomocy Społecznej oraz Polski Czerwony Krzyż.

Wszystkich Czytelników serdecznie w Chrystusie pozdrawiam

DUSZPASTERZ

czy prowadzenia gospodarstwa bez okazania szczypty wdzięczności czy serdeczności, a nawet w drastycznych wypadkach pozostawienie staruszków ich własnemu losowi w ciężkich warunkach i bez opieki.

Nie chcemy tu opowiadać się po jednej, czy drugiej stronie. Żadna z sytuacji rodzinnych nie jest przecież mechaniczną kopią drugiej i nie można ustalić żadnych sztywnych reguł ich rozwiązywania.

Pewne zasady są jednak w tym względzie bezsporne. Nie to jest jednak najważniejsze, jak przestrzegane są formy stosunku do człowieka starego, choć i to jest nie bez znaczenia w ocenie kultury człowieka. Otóż chodzi o to,

że kilka pojęć, które się utarły w odniesieniu do starych ludzi, wymaga zastosowania i chyba sprzeciwu. Dla przykładu: statystyka posługuje się określeniem „wiek produktywny” i „wiek nieproduktywny”. Ale jeśli ten termin określa stosunki między starymi rodzicami, a ich dziećmi? Czy nie słuszniejsze byłoby określenie: „człowiek, który wykonał już swoją życiową normę trudu i pracy — to człowiek stary”.

Słyszy się też takie zdania: „oni mają już życie poza sobą, teraz nam młodym coś się należy z życia”.

Ale będąc obiektywnymi i wobec drugiej strony, musimy przy-

znać, że ludzie starzy powinni pogodzić się z prawem ich dzieci do samodzielności i układania sobie życia według własnych wzorów i chęci i trzeba przyjąć fakt, że styl i sposób życia młodych jest inny od ich, z czasów ich młodości. Trzeba uwzględnić zmiany, jakie dokonują się w różnych dziedzinach życia na całym świecie. Mądrze trzeba kochać pokolenie, które wydano na świat, i któremu stworzono podstawy pod nowe, często odmienne życie.

Starość to problem rozległy, medyczny, społeczny i moralny. Starość to problem niełatwy — i dla tych, którzy dożyli wieku

sędziwego i dla tych, którzy te lata, przez poetów nazywane „jesienią życia”, mają jeszcze przed sobą.

AM



Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocze 312, roczna na 1983 r. — 624 zł. Jednostki gospodarki uposażeniowej, instytucje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZGraf., ul. Smolna 10. Zam. 94. M-97.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI



Bohdan, ujrawszy Brochwicza, zdziwił się, ale podszedł i wyciągnął rękę z powitaniem.

Hrabia cofnął swoją dłoń.

Michorowski zapłenał.

— Chce ze mną awantury — pomyślał.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

Wreszcie Bodzio przemówił:

— Wiem, jaki jest powód pańskiego zachowania się, i dlatego wybaczam je hrabiemu. Gorycz bywa tak silna, że skłania nawet do niegrzeczności.

— Więc pan sądzi, że ja popełniam tylko niegrzeczność i że nie podję panu ręki bez powodu? — spytał Brochwicz głosem wprost policzkującym.

— Tak. Hrabia powinien być trzeźwiejszy i nie szafować obelgą bez racji.

Jerzy się zdumiał. Pewność siebie Bohdana zaniepokoiła go.

— Pan intrygami swymi zerwał moje małżeństwo!

— Owszem, skłoniłem do tego heronównę. Przekonałem ją, że popełnia czyn bardzo ryzykowny i nierozważny.

— Jakże pan miał do tego prawo! — w uniesieniu zawołał Brochwicz.

— Prawe uczciwości.

— Czy pan działał za siebie... czy za kogoś.

— Wylacznie z własnej inicjatywy.

— Więc jak mam pana nazwać?... wybuchnął Jerzy.

— Hrabie, proszę się uspokoić. Ja wcale oboje ocalałem. Wchodziliście w nie-szczęście bez zastawienia. Lucja pana nigdy nie kochała i nie kocha. Nie mogło się stać to, do czegoście dążyli.

— I pan zostaliście aniołem stróżem Luci, pastrzem jej i mojej moralności. Zbytek łaski! Interwencja pańska jest nikczemna i śmieszna.

— Bodzio panował nad sobą, ale czuł, że się wyczerpuje.

— Jesteś hrabie niesprawiedliwy i nadużywasz mej pobłażliwości dla swego rozdrażnienia. Powtarzam, że wasze małżeństwo dojść do skutku nie mogło. Chciałem ratować kuzynkę od tej toni, i celu dopiąłem. Czuję się w zupełnej zgodzie z własnym honorem i sumieniem. Hrabia widział, że narzeczona nie kocha go i pomimo to nie wahał się zakuwać ją w związek dla niej tragiczny. A zatem, kto z nas więcej pragnął szczęścia dla Luci?...
Brochwicz miał w sercu przerażenie, grozę. Ale gniew przemógł wszelkie inne uczucia.

— Pomimo pańskich wykretów, czyn jego jest podłym i podstępny. Gardzę panem!

— Hrabie, proszę się liczyć ze słowami! — wykrztusił Bodzio nieswoim głosem.

— Nie liczę się z panem wcale! Cofam panu swoją dłoń i brzydzę się panem. Jesteś hezcelem! Flugawisz nazwisko które nosisz! — krzyczał Brochwicz bez opamiętania.

— Bohdan pobłądził straszliwie. Zchilo mu się ciemno w oczach. Spadł na niego cias niespodziewany, bolesny, pierwszy w życiu i ogłuszył do chwilowego zaniku myśli.

Gdy się oknał, Brochwicza już nie było. Zdrój krwi gorącej buchnął do mózgu Bohdana. Obrażona duma zażądała odwetu.

Bodzio wyszedł z Louwru z gotowym postanowieniem.

Cierpliwie znośił obelgi dla miłości Luci, lecz już nawet dla niej poświęcenie okazało się zbyt hańbiącym.

Szedł do swego mieszkania uspokojony, prawie wesół. Przypomnił sobie pierwszy pojedynek w Warszawie, i to go znówu rozdrażniło.

— Jaka różnica między tamtym a tym, który nastąpi! — myślał.

Zalował Luci i z nią razem życia. Bardzo jasno i wyraźnie odczuł teraz głęboką miłość do niej, i cześć, i uwielbienie i współczucie nad jej losem nie-szczęsnym.

— Co się z nią stanie? — pytał siebie Bodzio.

Pojedynek zmalal wobec tego pytania, które pochłaniało całą istotę młodzieńca.

— Co się stanie z Lucją?

I bez odpowiedzi, mogącej go uspokoić, Bohdan męczył się całą noc.

XLVIII

Brochwicz chciał wyrwać z siebie tę prawdę okrutną, którą mu rzucił Michorowski. Lecz nie mógł. Gorzka wstrętą prawdą rozrosła się w jego duszy i unicestwiała ją. Następowaly myśli bardzo trzeźwe i bardzo bolesne.

— Bohdan ma słusznosc! On by mnie znieawidził. Ona mną gardzi, tam-tego cenil jako swego wybawiciela. Bohdan postąpił z Lucją uczciwie, tylko ja chciałem ja poświęcić dla własnego egoizmu.

Jerzy poczul w duszy ciężar, niebywały dotychczas. Wątpliwosc co do siebie rosła; szacunek dla Luci i Bohdana wykwił nagle i potężnie. Hrabia myślał i walczył z sobą. Odbył spowiedz przed własną duszą, najtajniejszą myśl swą wydozył z ukrycia i przyjrzał się jej w świetle trzeźwej analizy. Zbadał uczucia i to było przesileniem rozpaczonego gniewu. Tylko jawa nieszczęścia pozostała wciąż tak samo straszna.

Brochwicz ujrzał pustkę przed sobą, pustkę życiową, niby marę, włóczącą się za nim hezliłoscnie. I zatrząsł nim dreszcz przerażenia, bo oto zrozumiał, że w tę pustynię bez cazy, isć musi samotny, z duszą zranioną, z sercem krwawym.

Hrabia odczuwał płacz wewnętrzny, rozrywający mu klatkę piersiową, lecz łzami nie płakał. Oczy były suche, ponure.

— Bohdan zwyciężył! — myślał hrabia bez przerwy.

Jaka tamten ma przewagę w pojęciu Luci, o ile wyżej ona go cenil może od tego, który ciągnal ją na bezdroża! Jerzy porównywał siebie z Bohdanem, ale odrzucał sam siebie wydal sie karykaturą.

Tamten działał na chłodno, on głównie dążył do zadowolenia swych pragnień... Ale... czy Bodzio byl zupełnie obojętnym w swych uczuciach, gdy zrywał ich małżeństwo? Działał bez wiadomości ordynata — to widoczne! Czy tylko powodowany szlachetnoscia, czy też z powodów osobistych?

Hrabia zastanawial się, dlaczego Bohdan taki zapalczywy, tym razem byl spokojnym. Pierwsza obelga, gdy mu cofnieto dlon, wylumaczyl poblaziłwie; na słowa wyzywajace odpowiadal bez wybuchów; mocował się z sobą, ale potrafil utrzymac takt, którego sie w nim Brochwicz nie domyslal.

Co go tak zmienilo.

Jaka sila wstrzymala go od gwałtownosci, znanej u niego powszechnie?

— Jedna jest jedynie możliwa: On kocha Lucję.

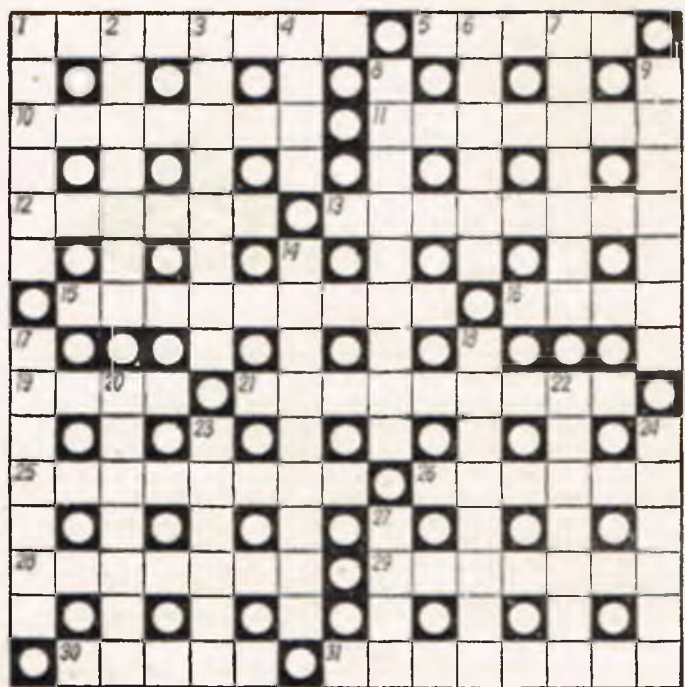
Ta myśl lzarysowala się od razu jako pewnik. Zgnębila ostatecznie Brochwicza, bo na tle swego nieszczęścia ujrzał on znówu — rywala.

A jednak zalował, że obraził Bodzia. Niepokoił się, podziwiał krew zimną młodzieńca, czynil sobie wyrzuty. Zamknięty w swym gabinecie męczył się i cierplial, nie widzac ratunku.

Zrozumial, że nie dość jest kobietę kochać szalenie i okazywać jej gład. swych uczuć, nie dość jest miłować duchem i požadać zmyslami, ale trzeba posiadac te moc wyliczną, odrębną silę psychiczną, która zniewala kobietę do wzajemności.

(50)

cdn.



KRZYŻÓWKA nr 10

POZIOMO: 1) jednostka sprawująca nieograniczoną władzę polityczną w państwie, 5) wewnętrzna poszewka pierzyny, 10) krój pisma, 11) tarapaty, 12) odmiana szarady, 13) równa 1 4 litra, 15) poręka, 16) wieść, 19) znany w Polsce piosenkarz amerykański, 21) dziejopis, 25) przeciwieństwo, przeciwstawienie, 26) hultaj, urwis, 28) przybór kreślarski, 29) wyścig koni, 30) brzeg, 31) kłopoty.

PIONOWO: 1) niepodważalna zasada wiary, 2) belka dachowa, 3) pachciarz, 4) niejedna w mechanizmie zegarka, 6) antonim zysku, 7) literatka, 8) członek eskorty, 9) bęben z kapeli janczarskiej, 14) półpiętro, 17) splecione włosy, 18) pojemnik na listy, 20) śpiewak w klatce, 22) publiczna gra hazardowa, 23) oczodół, 24) sport na macie, 27) niejedna na jodle.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Kryżówka nr 10”. Do rozlosowania:

nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 6

POZIOMO: kolekcja, stopy, przemyt, wiertło, luneta, inwencja, narwaniec, lato, arka, delikwent, kanonada, Belgia, tulipan, senator, walka, podkówka. **PIONOWO:** kapela, Lozanna, komitywa, juta, trener, petycja, ewangelia, lokator, intendent, Kalkuta, kwietnik, kanalia, negatyw, snopek, laurka, Oslo.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 4 nagrody wylosowali: Kazimiera Kmiotkowa z Cieszyna i Ludwik Bieszczad z Sokołowa Małopolskiego.

Nagrody prześlemy pocztą.